MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 50 WARSZAWA, 5 GRUDNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZBLIŻA SIĘ NOWY ROK

NIEBAWEM zamykamy rocznik 1937 „Myśli Narodowej", aby otworzyć nowy. Zapraszamy tedy szerokie koła przyjaciół i czytelników pisma, aby pośpieszyły z przedpłatą. Przy tym parę słów.

W ostatnich czasach poczęto uświadamiać sobie, że dla zachowania równowagi w układzie sił społecznych i dla zapewnienia im kierownictwa intelektualnego zachodzi potrzeba organizowania się inteligencji w ścisłym zespoleniu z kadrami mas społecznych, których popęd do wystąpień zbiorowych w karnych szeregach stał się znamieniem naszych czasów.

Sfery oświecone nie mają prawa stawać na uboczu. One przecież, nie kto inny, dały początek ruchowi narodowemu i one kroczyć powinny w pierwszych tego pochodu dziejowego szeregach. Sposób jeno ich zespalania się musi być właściwy ich stanowisku w społeczeństwie. Ludzie oświeceni nietylko pod komendą idei być mają, ale muszą pracować nad jej dalszym rozwojem i zastosowaniem do życia.

Klasa inteligencji wypadnie ze swej roli społecznej, jeśli nie będzie podążała za duchem czasu. Prawo przodowania przysługiwać jej będzie o ile wykaże się twórczą myślą. Na to społeczeństwo łoży z wysiłkiem swój grosz na wysoką kulturę swojej elity, aby ona wypłacała się narodowi przodownictwem duchowym.

Siłą organizacyjną inteligencji jest samorzut na przylegalność ideowa,—komenda wewnętrzna, a naturalną formą zespolenia jest skupianie się koło ognisk ideowych, wytwarzających myśl przewodnią zbiorowym wysiłkiem.

Jednym z takich ognisk jest „Myśl Narodowa". Siedemnastoletnie jej istnienie wykazało dostatecznie potrzebę wydawania tego organu. Potrzeba takiego pisma jest coraz większa, zbliżają się bowiem dni, kiedy elita obozu narodowego zdawać będzie musiała egzamin ze swego pogotowia sił twórczych. Musimy mieć ewidencję tych sił i czuć ich udział w życiu ideowym narodu.

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY

„Myśl Narodowa" liczy na pomoc tych wszystkich, którzy sytuację rozumieją, że ożywią w sferze swojego wpływu zainteresowanie bytem i rozwojem „Myśli Narodowej" i że w nowym roku 1938 znacznie powiększą zastęp prenumeratorów.

„Myśl Narodowa", świadoma swego przeznaczenia, nie będąc przedsięwzięciem merkantylnym i wysoko szacując wymagania czytelników, nie konkuruje z wydawnictwami czytankowymi, służącymi rozrywce, wszakże usiłować będzie tak treść pisma urozmaicić, aby ono uzupełniało informacje ze wszystkich dziedzin kultury, podawane w dzienniku.

W myśl tego, co wyżej powiedziano, staraniem pisma będzie skupiać koło siebie nie tylko czytelników ale i pisarzy. Jest to jego chlubą, że współpracują w nim pierwszorzędne siły pisarskie. Dla przykładu wymienimy te osobistości, które zamieściły swe prace w r. b. 1937.

Przede wszystkim profesorzy uniwersytetów: Ludwik Jaxa Bykowski, Ign. Chrzanowski, St. Dąbrowski, Wł. Folkierski, St. Głąbiński, Wacł. Komarnicki, Fel. Koneczny, Wł. Konopczyński, St. Pigoń, R. Rybarski, Karol Stojanowski, Wł. Tarnawski, Kaz. Tymieniecki, B. Wasiutyński, B. Winiarski.

Dalej ze starszych rangą pisarzy: Joachim Bartoszewicz, Wł. Jabłonowski, K. L. Koniński, St. Kozicki, St. Majewski, K. M. Morawski, St. Pieńkowski, Zyg. Raczkowski, St. Rymar, K. H. Rostworowski, Z. Wasilewski. Dalej: J. Birkenmajer, J. Bułhak, Artur Chojecki, L. Czerniewski, Z. Żółtowska-Dąbrowska, L. Gembarzewski, J. Giertych, St. Godlewski, W. Hubert, Kaz. Iłłakowiczówna, Michał Pawlikowski, M. Stecka, J. Świerzowicz, Irena Turowska, Wł. Wolert, G. Zabłocki, J. Zamorski, K. Zawodziński, W. Ziemacki.

Z sił pisarskich młodszych: J. Bajkowski, St. Czajkowski, Tad. Dworak, J. Dobraczyński, K. S. Frycz, J. Gralewski, St. Józefowicz, L. Maciański, A. Mikułowski, T. Mildner, J. Muszyński, S. Niebudek, J. Pietrkiewicz, W. Podoski, Helena Radziukinasówna, W. Strzałkowski, S. Tabaczyński, W. Załęski, B. Zaniewski, Emil Zaremba.

Poza tym szereg współpracowników pod pseudonimem lub przygodnych. Ogółem w tym roku mieliśmy na liście współpracy zgórą 80-ciu pisarzy.

Warunki prenumeraty pozostają te same, mianowicie:

kwartalnie zł. 9.—; półrocznie zł. 17.—; rocznie zł. 32. Zeszyt pojedyńczy gr. 80.

Możliwe jest spłacanie w ratach miesięcznych po 3 zł.

Apelując do przyjaciół o poparcie pisma, zwracamy ich uwagę, że byt jego materialny jest całkowicie uzależniony od tego, w jakiej mierze będzie rozpowszechnione w drodze prenumeraty. Dla tego usilnie prosimy o dostarczanie adresów osób, którzyby mogli „Myśl Narodową” zaprenumerować. Numery okazowe wysyłamy na każde żądanie.

Adres Administracji i Redakcji „Myśli Narodowej“ na końcu zeszytu.

OŚWIECONYM NIE PRZYSTOI NEUTRALNOŚĆ

Apel prof. Karola Stojanowskiego w przytoczonym niżej artykule wiąże się rzeczowo z wezwaniem naszego wydawnictwa do ludzi oświeconych, aby się skupiali koło „Myśli Narodowej“ w charakterze czytelników i współpracowników. Konsolidację narodową zaczynać trzeba od uświadomienia, a więc skupić się trzeba koło organu ideowego. *Red.*

WŚRÓD przeciwników Stronnictwa Narodowego panuje przekonanie, niezbyt jednakże szczerze wyznawane, jakoby Stronnictwo Narodowe było organizacją o składzie inteligencko - burżuazyjnym. W istocie Stronnictwo Narodowe jest dziś ze względu na swój skład społeczny stronnictwem ludowym, grupującym w swych szeregach najszersze masy społeczne. W porównaniu do tych szerokich warstw inteligencja daje naszej pracy mały wkład.

Nie znaczy to oczywiście, jakobyśmy jako stronnictwo byli pozbawieni udziału inteligencji. Stanowi ona, zwłaszcza w swych młodszych rocznikach grupę naszych przywódców, grupę liczną, a co ważniejsza bezwzględnie oddaną. Ale inteligencja jako warstwa społeczna stosunkowo mniej się angażuje aniżeli mieszczaństwo, włościanie i robotnicy.

Oczywiście ma to, jak wszystko na tym świecie, swoje przyczyny. Jest bardzo ciekawym zjawiskiem, że inteligencja w swej masie wszędzie stroniła początkowo od nowoczesnych ruchów narodowych. Stroniła tak samo od faszyzmu jak też od hitleryzmu. Ruchy narodowe są jakby reakcją na międzynarodowe wpływy kulturalne. Stąd instynktownie apelują one do szerszych warstw społecznych, warstw mniej ogarniętych przez proces międzynarodowej penetracji kulturalnej. Szersze warstwy tkwią na ogół o wiele więcej w tradycyjnej cywilizacji narodowej aniżeli inteligencja. Stąd też w początkach ruchów narodowych sentymenty sfer inteligencji i warstw szerszych jakby się rozchodziły, aby po ugruntowaniu się ruchu narodowego w warstwach szerszych porwać w swój nurt także i inteligencję.

W Polsce działały i działają poza tym przyczyny specjalne. Oto wojenne pokolenie inteligencji polskiej ulegało — poza Wielkopolską — w dość znacznych rozmiarach wpływom socjalistycznym. Dużo także zaważył na szali wypadków przewrot majowy, który inteligencję uzależnił od sfer rządowych zwalczających nacjonalizm.

Obecnie nadszedł czas odpowiedni po temu, aby inteligencja w większej ilości, aniżeli dotychczas, weszła do szeregów Stronnictwa Narodowego.

Stronnictwo Narodowe stało się dziś *jedyną poza armią rękojmią lepszej przyszłości Polski*. Stronnictwo Narodowe dokonuje historycznej wprost przebudowy społecznej Polski. Dzięki pracy stronnictwa powstaje w naszych oczach na terenie całego kraju nowa warstwa polska, to jest mieszczaństwo, wszędzie, gdzie go dotąt nie było. Stronnictwo ruguje skutecznie żydów z Polski, a tymsamym przeciwstawia się zakusom komunistycznym.

Stronnictwo Narodowe jest ruchem dążącym do głębokich zmian w polskiej cywilizacji, oraz zmiany te systematycznie wywołującym. Przyświeca nam ideał wielkiej i rodzimej polskiej cywilizacji, cywilizacji opartej na pierwiastkach katolickich i wolnej całkowicie od rozkładowych wpływów żydowskich. Odbudowa i odnowienie polskiej cywilizacji zadecyduje na równi z narodową działalnością polityczną o tym, czy Polska będzie narodem wielkim i zdobywczym, czy też spadnie do rzędu narodów małych.

Jest tedy dla naszej rdzennie polskiej inteligencji miejsce nie tylko w pracach politycznych Stronnictwa, ale także i przede wszystkim *w pracach z zakresu kultury*. A prac tych jest wiele i są bardzo różnorodne. Chodzi nie tylko o wzmożenie twórczości w dziedzinie kulturalnej, ale ponadto *o stworzenie własnego polskiego stylu w życiu kulturalnym*.

To jest zadanie inteligencji polskiej, która powinna stanąć w pierwszym szeregu zarówno politycznej, jak kulturalnej ofensywy narodowej w Polsce.

KAROL STOJANOWSKI

NIE TĘDY DROGA

Nota Redakcji do artykułu p. Tadeusza Dworaka „Totalne państwo narodowe” (nr. 47) scharakteryzowała artykuł ten jako dyskusyjny. Korzystam ze sposobności, aby wypowiedzieć również zdanie w tak doniosłej sprawie.

Zagadnienie jest bez wątpienia trudne i skomplikowane, z rodzaju tych, które rozstrzyga się dopiero po starannym rozważeniu wszystkich *pro* i *contra*. Uczyniwszy to, doszedłem do zapatrywania wprost przeciwnego, niż p. Dworak. Sądzę, iż szala państwa totalnego, choćby i narodowego, buja wysoko w powietrzu.

I nie z żadnej doktryny mam zamiar wyprowadzać przeciw niej argumenty. Decydować muszą przykłady, względy praktyczne i tradycja. Przykłady, bo to, co widzimy u innych, może *mutatis mutandis* powtórzyć się u nas; względy praktyczne, bo najlepszy pomysł na nic, jeżeli nie da się wcielić w życie lub, wcielony, da inne skutki, niżeśmy oczekiwali; tradycja, bo to, co dla jednego narodu jest zdrowym pokarmem, dla drugiego może okazać się trucizną, bo zresztą wierzymy wszyscy, że życie zbiorowe narodu obejmuje przeszłe i przyszłe pokolenia, że więc dzieje dostarczają wzorów dla teraźniejszości i przyszłości.

Zacznijmy tedy od przykładów. Rosja sowiecka nie wchodzi w rachubę. Jeżeli o niej mówię, to tylko dlatego, że wedle p. Dworaka „komunizm związał.. różnorodne szczepowo ludy w jedną polityczną organizację”. Jest to wyraźna aluzja do polskiej kwestii mniejszościowej, którą rzekomo załatwiłoby totalne państwo narodowe. Otóż komunizm różnorodnych szczepowo ludów nie związał, bo zrobiła to carska Rosja, gwałcąc prawa narodowe w imię niemoralnie pojętej idei narodowej czyli imperializmu. Komunizm tylko usiłował ten stan rzeczy utrzymać. Że udało mu się jedynie częściowo, tego nie trzeba chyba wyjaśniać Polakom. Swoją zaś organizację polityczną stworzył komunizm, zaprzeczając zasadzie narodowej i zwalczając ją pod hasłem walki klas. Wysunięcie takiego hasła i negacja zasady narodowej (nie u wszystkich komunistów szczera) były jedynym sposobem, aby działające odśrodkowo idee narodowe ubezwładnić i pozbawić siły.

Przejdźmy tedy do prawdziwych totalnych państw narodowych. Najbardziej imponująco przedstawia się dorobek faszyzmu. Ale i tu muszą być pewne zastrzeżenia.

Krętymi drogami chadzała polityka zagraniczna Italii faszystowskiej, szukając za wszelką cenę ekspansji. Ostatecznie jednak zwróciła się ku Abisynii, państwu barbarzyńskiemu, pochodzącemu w znacznej części ze świeżego podboju i mającemu na tronie uzurpatora. Stąd moralne rozdzieranie szat trąci hipokryzją — zwłaszcza gdy rozdzierają je najwięksi imperialiści świata. Cywilizacja zyska na włoskim zwycięstwie. Nastąpiło ono wśród szczególnych okoliczności, bo wśród przeszkód i gróźb ze strony szeregu państw. Nie należy jednak zapominać, że objekt zdobyty nie jest zbyt wartościowy (do odleglejszych kolonij afrykańskich państwa europejskie na ogół dopłacają) i że właściwa rozgrywka z Anglią i jej sojusznikami dopiero ma nastąpić.

Dodajmy, że, jak dotąd, faszyzm włoski stoi osobą Mussoliniego. Czy znajdzie godnego następcę?

O wiele gorzej przedstawia się przykład niemiecki. Hitler musiał ugruntować swą władzę przez krwawy porachunek z ludźmi, którzy dopomogli mu do jej uzyskania. Wystarczy spędzić w Niemczech kilka dni, aby stwierdzić, że panuje tam system przymusu, srogich represyj i szpiegostwa. Różne wyrzeczenia, narzucone narodowi, a choćby dobrowolnie przyjęte w imię przyszłości, muszą na niej odbić się niekorzystnie, gdyż dadzą w rezultacie słabe pokolenie. Wysoka zaiste cena! I za co ją zapłacono? Nadrenia musiała i tak wrócić do Niemiec. Dalsza ekspansja grozi zawikłaniami. Najrealniej przedstawia się odżydzenie, ale i to nie jest tak zupełne, jak wydaje się na odległość—mianowicie żydzi niewiele utracili ze swej potęgi ekonomicznej. Bezrobocie usunięto przez forsowne zbrojenia. Rzecz ta łączy się z natury rzeczy z polityką zagraniczną. Dyktatura wymaga ustawicznych zastrzyków entuzjazmu, stąd dążności imperialistyczne, do których dostosowuje się nawet naukę. To nie jest zdrowy nacjonalizm, bo zdrowy nacjonalizm broni swego, a nie sięga po cudze. Niemcy ostatecznie prędzej czy później rozpętają burzę, która wiele zniszczy na świecie, ale dla nich też napewno nie skończy się szczęśliwie. Że zaś ich nacjonalizm nie jest zdrowy, tego dowodem i prześladowanie Kościoła, zarówno katolickiego jak i protestanckiego, powstałego na ziemi niemieckiej. W obłąkańczych atakach na Chrystusa jako na żyda, jak i w teoriach głoszących, że Chrystus był Germaninem, widać upadek kultury.

Być może, iż zdrowy totalizm narodowy urósł w Portugalii, brak jednak danych, aby o nim mówić. Zresztą i samo państwo jest za małe, aby przykład miał znaczenie dla Polski. Co do Japonii, to naprzód gra tam wielką rolę pierwiastek dynastyczny, następnie ekspansja militarna ma silny podkład kapitalistyczno-ekonomiczny, wreszcie akcja, znacząca swe postępy burzeniem prastarej cywilizacji, żniwami miast i trupami tysięcy ludności cywilnej, nie może być ideałem. A i tu daleko jeszcze do końca. Rządy Kemala Paszy czyli Atatürka za dużo mają zabarwienia masońskiego, aby tu o nich mówić, przewrót w Brazylii zbyt jest świeży i nie wiemy, czy to dzieło „narodowego totalizmu”, czy jednostkowej żądzy władzy lub ukrytych interesów wielkiego kapitału.

Jakby totalne państwo narodowe wyglądało u nas w praktyce? Już Skarga powiedział, że dobre *absolutum dominium,* ale we wszechświecie, gdzie włada Istota Najlepsza i Najmędrsza. Pod warunkiem, że ów wódz-dyktator byłby chociaż w ziemskiej (ale trzydziesto dwu milionowej) proporcji mądry i uczciwy, zgoda i na totalizm. Ale to znaczy, że musiałby być geniuszem. Widzę w Polsce, w szczególności w szeregach narodowych, niemało ludzi dobrych i zdolnych. Ale geniusza nie widzę. Łatwoby więc mogło się zdarzyć, że ten, który na jednym z wysokich stanowisk stworzyłby dużo dobrego i zasłużył się narodowi, wyniesiony na najwyższe i obdarzony nieograniczoną władzą, nie sprostałby nadludzkiemu prawie zadaniu i nietylko samby się zmarnował,

ale i Polsce zrządziłby niepowetowane szkody. Istnieje zaś i dalsze niebezpieczeństwo. Na wyżynach przychodzi czasem zawrót głowy, czyli mania wielkości, i wiedzie do przecinania z wiarą we własną nieomylność wszelkich węzłów gordyjskich—z jak najgorszymi dla narodu skutkami. Przykładów chyba nie trzeba, zamiast więc je przytaczać, wolę rzucić pytanie. Nie strach wam totaliści? Ja bo nie jestem tak odważny. Wiem, że odwaga zdobi, ale tylko wtedy, gdy naraża się na szwank siebie i swoje.

Prócz wodza ustrój totalny wymaga licznego zastępu ludzi, którzyby spełniali jego rozkazy i w różnych dziedzinach życia społecznego, wcielali w czyn jego myśli. A zatym ustrój ten musi opierać się na pewnej grupie. W tym wypadku byłoby to dzisiejsze Stronnictwo Narodowe. Ustrój byłby monopartyjny. Polegałoby to albo, jak we Włoszech faszystowskich do r. 1929, na istnieniu wielkiej organizacji kontrolującej działalność właściwych organów państwowych i nadających jej kierunek, albo na obsadzeniu przez nią wszystkich czy prawie wszystkich ważniejszych przykładów państwowych. O pierwszej ewentualności nie ma co i myśleć w ubogiej Polsce. Wszakże trzeba jej nie nowych ciężarów (mniejsza o to, jaką drogą nakładanych, ale w każdym razie ciężarów personalnych), ale zmniejszenia istniejących; nie nowych dygnitarzy, urzędników, urzędniczków, darmozjadów i ich kontrolerów, ale wybawienia od mrowia obecnych. Pomijam już kwestię, jak opróżnić zajęte stanowiska i co zrobić z ludźmi (są na to recepty, ale brzydkie). Nasuwa mi się obawa daleko poważniejsza.

Nie sądzę, aby pożądane były niekontrolowane przez nikogo rządy jakiejkolwiek partii, nawet mojej własnej. Radbym widzieć ją przy władzy, radbym widzieć przyoblękające się ciałem idee narodowe, wysnute z uczucia i myśli mnogich pokoleń, a sformułowane precyzyjnie przez Popławskiego i Dmowskiego, — ale sama duma dyktuje mi postulat: Niech ktoś nieżyczliwie usposobiony patrzy na ręce. Zresztą ludzie po dojściu do władzy zmieniają się czasem. Nie dla tego to mówię, abym nie zdawał sobie sprawy, że w naszym obozie więcej jest idealizmu, bezinteresowności, poświęcenia, niż gdzieindziej. Lecz już Katechizm nas uczył, że wola ludzka skłonniejsza jest do złego, niż do dobrego. Z tego powodu potrzebne są zewnętrzne hamulce. Czy sądzicie, że w sanacji nie było ludzi pragnących pracować dla idei i nic nie żądających dla siebie? Byli, ale czy właśnie oni nadali charakter przeżywanemu przez nas okresowi dziejów Polski? Trzeba pamiętać, że społeczeństwo nasze jest zdemoralizowane — niewolą, wojną, podczas której były trzy okupacje i dwie orientacje, następnie czasami wybujałej demokracji (którym specyficzne piętno nadaje podziemna robota grupy dążącej do władzy, grupy monopartyjnej), wreszcie owym okresem następnym. A w żywym organizmie jad rozchodzi się z członka zakażonego i po innych... Wyobraźmy sobie teraz rzecz straszną: Ideę narodową, poniżoną i skompromitowaną przez paru ludzi niegodnych z naszych szeregów. Bo przecież przy masowym ruchu politycznym trudno uniknąć dostania się do organizacji jednostek nieodpowiednich... Czy nie lepiej odrazu zgodzić się na kontrolę przeciwników? Najbezwzględniejszy z dyktatorów Atatürk kilka lat temu sam postarał się o powstanie opozycji (coprawda sam też ją później zlikwidował, gdy wydała mu się za śmiałą).

Państwo totalne musi być etatystyczne policyjne i biurokratyczne. Przedsmak tego wszystkiego znamy, więc nie będę się rozwodził nad obrazem owej przyszłej szczęśliwości narodu.

A teraz jak mamy wyobrażać sobie nastanie owego narodowego totalizmu? Z rozważań „technicznych" czy „szczegółowych" rezygnuję odrazu, natomiast muszę jedną rzecz sprostować. Mówi p. Dworak, że „państwo, gdzie są duże i aktywne grupy obcych narodów... może doprowadzić do porządku i wzmocnić tylko rząd narodowy o władzy totalnej". Nie zgadzam się na owo „tylko", ale idzie mi tu o coś innego. We Włoszech faszyści przyszli do władzy dzięki stanowczości działania i chwili groźnej dla narodu, dzięki poparciu króla i życzliwej neutralności armii. Już w Niemczech rzecz wyglądała mniej budująco (prócz siły użyto i podstępu). Ale i tu i tam zadecydowały ostatecznie liczba zorganizowanych totalistów narodowych i potęga stojącej za nimi opinii. Otóż takiej przewagi organizacji i opinii nie można osiągnąć w państwie, mającym $^1/_3$ obcej ludności. Przeciwnicy zawsze znajdą tu oparcie. Co więcej, same usiłowania muszą w tych warunkach wywoływać raz po raz niesłychane wstrząsy i niebezpieczeństwa.

Gdy mówimy o stronie praktycznej zagadnienia, to jeszcze jedna uwaga. Powinniśmy pamiętać, że i po przeciwnej stronie pojawiają się projekty totalistyczne. O wiele zaś łatwiej urzeczywistnić swe plany temu, który rządzi, niż temu, który dopiero ma zamiar rządzić. Nie wywołujmy tedy wilka z lasu, nie szermujmy totalizmem, bo pewnego pięknego poranku gotowiśmy usłyszeć: „Macie tu wasze sny urzeczywistnione". Wiemy zaś dobrze, jak nasze idee wyglądają w obcym wykonaniu.

Wielkość faszyzmu, jak świadczy już jego nazwa, ma silne oparcie historyczne w tradycji rzymskiej. I nie idzie tu o Rzym republikański, zbyt on odległy formą rządu. Idzie o rządy dyktatorskie Sulli, Cezara, Augusta i jego następców. Byli to ludzie, którzy—w znacznej przynajmniej części—zawdzięczali wyniesienie własnym zdolnościom wojskowym i administracyjnym, mieli też władzę nieograniczoną. Tylko jej nadnaturalna sankcja, polegająca na boskości cezarów, nie dała się naśladować. Wszystko inne było dla Mussoliniego tradycją, wzmocnioną jeszcze w okresie odrodzenia.

Młodsza, ale też żywsza sama przez się była tradycja, użytkowana przez Hitlera. Aby nie sięgać zbyt daleko, wystarczy wspomnieć o „oświeconym absolutyzmie" XVIII w. i o militarnej kulturze Prus, dla których wojna była przemysłem zawodowym. A gdy Prusy narzuciły swą hegemonię Rzeszy, wszędzie zagnieździł się duch hierarchii i wojskowej prawie karności. Potęgowały go powodzenia zewnętrzne i wewnętrzny dobrobyt, ostatecznie zaś pogłębiły cztery lata wojny światowej. Łatwo go było przywołać napowrót po epizodzie rzeczypospolitej wejmarskiej, że jednak psychikę pruską wskrzesił Bawarczyk Hitler, świadczy o jego dużej zręczności politycznej.

Otóż w naszych dziejach trudno znaleźć coś, do czegoby można nawiązać totalizm. Pokaże mi ktoś w odpowiedzi mieczyk Chrobrego. Ależ ten władca absolutny nie był wodzem - dyktatorem,

wyniesionym na stanowisko najwyższe przez własne zdolności i moment dziejowy, był dynastą z krwi Piasta, był synem Mieszka, który dał Polsce światło wiary chrześcijańskiej i pierwszy powstrzymał napór zachodniego wroga. Bolesław zjednoczył kraj przez niego nieopatrznie podzielony, a jeżeli do wielkich czynów orężnych dopomogła mu silna władza wewnętrzna, to zachodził tu i stosunek odwrotny: tryumfy zewnętrzne pomagały do ugruntowania silnej władzy. Szczegółów jej organizacji znamy nie wiele. Ten przykład niech nam świeci jako drogowskaz, obrócony ku zachodowi, niech nas napawa dumą i krzepi w dzisiejszych ciężkich i niebezpiecznych czasach. Lecz argumentu za totalizmem z niego nikt nie wysnuje. Po Chrobrym zaś nie było w Polsce rządów dyktatorskich—wojskowe epizody powstań nie liczą się chyba—aż do naszego własnego okresu. O tym nie będę mówił, ale niech go sobie czytelnik przemyśli, to napewno nie zawadzi.

Przytoczyłem tu najważniejsze (nie wszystkie) rzeczy, przemawiające przeciw totalizmowi. Czy więc przyszłą Polskę wyobrażam sobie pod znakiem pięciu przymiotników, klucza partyjnego i obstrukcyj mniejszościowych? Niechże Bóg broni! Polska musi mieć spoistą organizację i silny rząd, oparty na zaufaniu narodu, ale to zaufanie musi się jakoś objawić. Nikt mnie nie przekona, że jego dowodem może być gwałt, uwieńczony powodzeniem. Historia daje tysiące przykładów, że zagarnięcie władzy siłą udawało się zazwyczaj nie większości, lecz silnie zorganizowanej i niecofającej się przed niczym mniejszości (czasem z pomocą zewnętrzną). Do poznania woli narodu mamy tylko ten środek, który służył do poznania woli ludu — głosowanie. Musi ono być uczciwe, ale nie musi być ortodoksyjnie-demokratyczne.

Nie chciałbym tu wchodzić w kwestie ustrojowe, ale muszę dodać parę słów dla wyjaśnienia. Niedawno ogłoszony projekt ordynacji wyborczej „Zarzewia" mieści nonsens, jakgdyby wymyślony przez jakiegoś rejenta, dbałego o dochód własny i kolegów, że kandydatura poselska ma być poparta tysiącem uwierzytelnionych podpisów. Lecz mieści i rzeczy mądre, przyznaje bowiem czynne prawo wyborcze ludziom, którzy ukończyli 24 lat życia i wymaga, aby każdy własnoręcznie napisał po polsku nazwisko tego, komu głos oddaje. To dużo, ale jeszcze nie dosyć. Można „mniejszość nieterytorialną" zupełnie pozbawić prawa wyborczego lub zredukować jej przedstawicielstwo przez osobną kurię. Można nierównomiernie traktować okręgi wyborcze, stosując probierz kultury i dając mu wyższość nad probierzem zaludnienia. Nad takim sejmem postawić można drugą izbę, złożoną z wirylistów i z ludzi wybieranych przez korporacje i instytucje. Ale praworządne źródło władzy być musi—choćby dla tego, że religia katolicka zabrania gwałtu.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

WIZERUNKI WIELKOPOLSKIE

PIERWSZĄ serię (druga jest w druku) swoich studiów i szkiców wielkopolskich ogłosił Adolf Nowaczyński pod znamiennym tytułem „Warta nad Wartą".

Są to właściwie wizerunki, na rozmaitych polach działalności wsławionych, synów, (także i cór) prastarej dzielnicy piastowskiej, których postacie pokryte cieniem czasu autor wskrzesza i w żywem świetle zasług narodowych ukazuje.

Zajął się nimi Nowaczyński nie tylko dlatego, iż — jak powiada w przedmowie — zawsze go coś ciągnęło do Wielkopolski, której życiem od kilkudziesięciu lat interesował się „dogłębnie i zapalnie" jak mało kto u nas z piszących, lecz i z tego powodu że za naszych już czasów Wielkopolanie „nie są brani w rachubę, nie wchodzą ni w grę, ni w rozgrywkę" i są zawsze stawiani na najszarszym końcu.

Gniewało go to, gorąco tedy wziął do serca krzywdę dzielnicy, która odzyskaną niepodległość opłaciła najsowiciej i, będąc przykładem praworządności, dyscypliny, spójni wewnętrznej, rządności gospodarczej, wyścigu pracy etc. — utrzymuje się wciąż, pomimo licznych utrudnień, na wysokim poziomie jako solidny ośrodek dynamicznych, kulturalnych wartości.

W dodatku, samym Wielkopolanom pragnął autor książką swoją dodać ducha, mówiąc im: „pamiętajcie, jakich mieliście przodków i antenatów bajecznych!".

Wistocie, liczną grupę niepowszedniej miary Wielkopolan, „a najmniej w encyklopediach i podręcznikach miejsca dotychczas zabierających", przedstawił czytelnikom Nowaczyński w pierwszym tomie „Warty nad Wartą".

Tak więc najsampierw, sięgając o kilka wieków wstecz, szkicuje światłą postać „drugiego Ostroroga", wnuka „pierwszego", znakomitego statysty. Ten drugi Ostroróg musiał być nielada głową, kiedy mu Król Zygmunt III poruczył pertraktacje z rokoszanami Zebrzydowskiego, a następnie powierzył edukację synów własnych. O tym to mężu niepospolitym wie się z dziejów literatury, głównie z tego powodu, iż napisał on między innymi rzecz o „Myślistwie z Ogary".

Następnie idzie „pochwała" księdza biskupa, kanclerza z Chojna Choińskiego, który skąpił grosza dla siebie, a wszystkie dochody, jakie tylko miał, na edukację biedaków dawał, i w ten sposób wykierował na „ludzi" liczny szereg mężów, co stali się ornamentem i splendorem Zygmuntowskich czasów. (Kardynał Hozjusz, Dantyszek, Grzegorz z Szamotuł, Marcin Kromer itp.).

Dalej mamy krótkie dzieje „dwóch panów z Sierakowa", braci Krzysztofa i Łukasza Opalińskich, z których Krzysztof, satyryk, „publicysta", zasłynął w Polsce, czasu najazdu szwedzkiego, jako „zdrajca". Nowaczyński za to „załamanie się" Krzysztofa obwinia króla Jana Kazimierza, złego dostojeństw dystrybutora...

„Nie mają zaś racji — twierdzi — ani Szujski, ani Szajnocha, ani ich torem dyskwalifikacji idący Sienkiewicz. W jednym rzędzie ze zdrajcami — z Radziejowskim, J. Radziwiłłem, Grudzińskim itp. stawiać go nie można". Podług Nowaczyńskiego załamanie się psychiki Krzysztofa w krytycznym momencie, było w całokształcie jego

życia epizodem takim, jakim załamanie... Sobieskiego Jana III.

Może to być, niepodobna jednak zgodzić się z autorem, że swoją zdradę okupił Opaliński pięcioma księgami swoich „Przestróg“. Są to bowiem rzeczy zasadniczo różne; dobro „Przestróg“ nie może zrównoważyć zła zdrady stanu. Mądrość „Przestróg“ snać była przeznaczona dla innych i nie obowiązywała ich autora, gdyż nie wpłynęła na niego w momencie krytycznym, nie stłumiła urazy osobistej, wogóle prywaty, z której zrodził się haniebny czyn. Ten mógł być okupiony tylko innymi, przeciwnej natury — czynami osobistego poświęcenia i ofiary z siebie samego na rzecz publicznego dobra. Te zaś nie nastąpiły. „Przestrogi“ więc pozostają jedynie jako świadectwo wybitnego umysłu Krzysztofa.

Przechodząc do nowożytniejszych Wielkopolan, Nowaczyński kreśli sylwetki takich jak Staszyc, generałowie Fiszer i Szembek, Kopczyński (pierwszy nasz gramatyk), ks. Gorczyczewski (tłumacz Boileau), Libelt, Olrych Szaniecki („ludowiec“ z przed 1831 r.), Emilia Szczaniecka, bracia Zychlińscy (powstańcy 63 r.), Bogusławski (twórca teatru narodowego), Kurpiński (muzyk) itp., kończąc na Józefie Kościelskim, polityku na schyłku XIX w., który tu się znalazł jako *sui generis* humanista, „*galantuomo i causeur* nieporównany“...

Są to przeważnie indywidualności nieprzeciętne, a nie brak i bardzo wybitnych; ludzie pełni, charaktery niezależne, pracownicy zdolni, organizatorzy, twórcy, a przytem jednostki nie ze stada, z polotem i fantazją.

Mówi o nich Nowaczyński z pasją, kocha takimi, jakimi byli w całości, z cnotami i przywarami; przekonywa i popiera dowodami, że warci są uznania oraz żywej pamięci.

Zapał uczuć żywionych dla Wielkopolan, unosi go czasami za daleko. Oto przykład: Czcząc jaknajsłuszniej pamięć generała Fiszera, którego nazywa najczystszym i najniezłomniejszym z plejady starodawnych wodzów, tak pisze: „nie żywot Poniatowskiego kwalifikuje się do „Żywotów polskiego Plutarcha“, ale żywot generała Fiszera. Nie na upomnikowanym „damskim kawalerze“ Poniatowskim powinny się urabiać indywidualności naszych młodych wodzów i strategów, a na generale Fiszerze“.

No, dobrze — niech w polskim „Plutarchu“ będzie Fiszer a nie książe Józef, nic w tem bowiem niema, coby krzywdziło jego osobę i pamięć o niej, ale z tym „damskim kawalerem“ — i kropka, i nic nadto, to jest gorzej, panie Adolfie! Można się irytować, że Poniatowski został „aszkenazyjsko ukanonizowany“ — jak się wyraża autor — ale cóż tu zawinił książe Józef? Jeśli przesadny kult z jakim prof. Aszkenazy jest dla Poniatowskiego komuś nie dogadza, to przecież mamy wielu innych, którzy go sądzili i sądów swoich natarczywie nie narzucali.

Jednym z takich jest np. współcześnik ks. Józefa, stary Kajetan Koźmian, który czci go w swoich „Pamiętnikach“ w ten sposób: „Był w nim prawdziwy ideał rycerza z wszystkimi wdziękami, z całym urokiem zacności, szlachetności, uprzejmości, męstwa, dobroci, a razem godności, które się w jego wejrzeniu, w jego twarzy, w jego każdym ruchu malowały. Niedziw więc, że w młodości był psuty przez kobiety, a w męskim wieku miał szacunek, miłość i uwielbienie współziomków, bo na nie zarabiać umiał“. Wyliczając świetne czyny ks. Józefa nie pominął Koźmian jego postępków lekkomyślnych, a zważywszy to wszystko tak kończy: „Poniatowski samą czystą miłością, którą sobie za sprężynę w postępowaniu do prowadzenia serc i umysłów wybrał, wiódł do sławy swoje szeregi. Kochano go mniej dlatego, że pobłażał, jak dlatego, że się nigdy nie gniewał i nie mścił, słuchano go przez bojaźń zasmucenia go“...

Miał władzę nad ludźmi, a zjednywał ich sobie sercem, nie mścił się — jakże to uroczo brzmieć powinno w teraźniejszych czasach!

Szkoda, że Nowaczyński, który jest zamiłowanym szperaczem, i napewno ksiąg nie mało przewertował, zanim przystąpił do pisania swojej o Wielkopolanach, nie zajrzał przedtem do wspomnianych „pamiętników“ Koźmiana, — a ręczę, iż nie cisnąłby w ks. Józefa tym, tak niesprawiedliwym, „damskim kawalerem“ — jako czemś, co daje najlepsze pojęcie o wartości jego osoby. Z właściwą sobie szczerością powiada Nowaczyński w przedmowie, że w książce jego mogą być „niedopatrzenia i błędy, i byki, i bluffy“ — niech mi więc wybaczy, iż na jedno z owych niedopatrzeń, a właściwie: uprzedzeń, zwróciłem tu uwagę.

Poza tem nie mam do niego żadnych innych pretensyj. Przeciwnie! nie tylko z przyjemnością przeczytałem jego książkę, i gorąco zachęcam innych do jej czytania, lecz mniemam, iż poniekąd jest ona czynem obywatelskim nie małego znaczenia.

Nasampierw dlatego, że zwrócona tu została uwaga na ogromną wartość ludzi wielkopolskiego typu dla naszego życia narodowego, dla mocy i zdrowia kultury polskiej, w czasach kiedy ulega ona zanieczyszczeniu wskutek wtargnięcia obcych jej i wręcz wrogich pierwiastków; następnie — że ostrzega przed niebacznem lekceważeniem zasłużonej w dziejach Polski, dawnej i współczesnej, dzielnicy oraz narzucania jej porządków, zwyczajów, a i ludzi — rujnujących to, co było jej siłą i cnotą, co służyło znakomicie dobru ogólnemu i nadal służyć powinno; wreszcie dlatego, że wskrzesza pamięć o jednostkach często gatunku przedniego, mogących w dzisiejszym Polaku wzmocnić poczucie wartości duchowych własnego plemienia i ożywić w nim nadzieję osiągnięcia doskonalszej, wyższej postaci bytu narodowego.

Dużo można powiedzieć na pochwałę tej książki jeszcze z innych względów. Zbyteczna rozwodzić się nad tym, że pisana jest z niesłabnącą werwą, ze swobodą w tonie i słowie, z humorem nieraz sowizdrzalskim, czasem zadzierzyście i przekornie, słowem — „prosto z mostu“, czem Nowaczyński zawsze słynął i takim pozostanie, dopóki pisać będzie.

Co tu wszakże szczególniej ujmuje, to jego serdeczna poufałość w stosunku do tych, których żywoty i sprawy rozważa. Mówi o każdym, o najdostojniejszych i najokazalszych, jakby pozostawał z nimi w najściślejszej, codziennej zażyłości; mówi o nich bez ceremonii i konwenansów, bez pochlebstwa i kadzidła, kordialnie i rzetelnie, podziwiając w każdym, co godne podziwu, nie pomijając jednak słabostek i ułomności, ściskając czule, gdy było zaco, żartując i dworując dobrotliwie, gdy ktoś dawał do tego okazję.

W ten sposób przesuwając ich przed naszym wzrokiem czyni tych swoich Wielkopolan bardziej nam bliskimi, wywołuje w nas ten sam dla nich sentyment, szczere zadowolenie z lepszego ich poznania, jakim sam jest względem nich przejęty.

Na zapowiedzianą drugą serię szkiców wielkopolskich czekamy więc niecierpliwie, pierwsza bowiem zaostrzyła nasz smak i obudziła ciekawość, której należy się prędkie zadośćuczynienie.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

W DZIANISIE

Achilles w Krowim Żlebie. — Maciej i Jacek. — Polityka na wesoło. — Atonalne śpiewy. — Polska droga i co jest najważniejsze? — Uroczystość z uśmiechami. — Groźba Czepca. — Jeszcze raz polska droga. — Wyznanie ponocne Obrochty. — Przyjacielska porada.

DO DZIANISU idzie się z Kościelisk przez Miotłówkę, a Miotłówka to jest dalszy ciąg słynnej Gubałówki i wraz z nią jakoteż i z paru innemi ówkami tworzy wał pagórów leżący na północ od Tatr i przypatrujący się im już od dłuższego czasu. Dzianis leży więc za Miotłówką i schowany jest w głębokim wąwozie, który nazywa się Krowi Żleb. Z Dzianisu Tatr nie widać, ale sama wieś jest bardzo ładna. Domy trzymają się po obu stronach krętego potoku doskonale przyczepione to niżej, to wyżej do jego stromych skalistych brzegów i albo wiją się równolegle z kapryśnym korytem, albo, nie mogąc nadążyć jego wykrętasom, stają im samowolnie wpoprzek i inaczej, albo zniechęcone uciekają od wody wysoko na zbocze — całość z tego tworzy się bardzo bogata i malownicza. Oprócz tego w Dzianisie jest dużo zieleni, a jeśli jesień, to złota i pomidoru — wioska ta jest kosmata od drzew: lipy, jesiony, jawory.

Górale dobrze dają sobie radę ze stawianiem domów dla ceprów, czyli domów niebardzo prawdziwych, bo jakdyby tylko przyjemnościowych i domy te są zwykle wcale ładne, choć niejednokrotnie znacznie odbiegają od kanonów tradycyjnego budownictwa góralskiego, atoli prawdziwe piękno architektury podhalańskiej widać tam tylko, gdzie letnicy nie dojechali i gdzie górale budują dla siebie. I oto Dzianis ma taką architekturę, bo do Dzianisu ze względu na jego położenie za Miotłówką prosperity letników, którzy pragną widoku Tatr, nie dotarła. Architektura godna jest niemal starożytnej Grecji i mogłaby gościć w swych ciosanych wirtuozowską ręką progach szybkonogiego Achillesa bez ujmy dla jego boskich proporcji i odległości—od tragicznej pięty do kolana, od kolana do łona, do pępka, do brodawki piersiowej i t. d., jednem słowem wszystkie wymiary Achillesa wzdłuż i wszerz, wszystkie jego członki i kawałki i najdrobniejsze szczegóły i zakończenia, jakoteż i ten słynny fałd na jego płaskim tygrysim brzuchu [1]) — to wszystko czułoby się zupełnie dobrze na tle Dzianisu w owym Krowim Żlebie.

Zresztą Dzianis to nietylko architektura, ale i urbanistyka, bo ładne są w nim nietylko poszczególne budynki, ale i, jak widzieliśmy, rozlokowanie całej osady. Naturalnie nieposlednią rolę przy dokonywaniu kompozycji Dzianisu odegrał potok ze swojemi wywijasami. Ale jeśliby nawet i nie było potoku, to dlaczegóżby Dzianis nie miał być uroczy, uroczy tak — samo przez się? Przecie to jest gniazdo ludzkie i jeśli różne zwierzęta i owady wcale nie brzydkie sobie gniazda budują, to dlaczego człowiek... dopóki zachowuje swoje wyobrażenie Boże, miałby mieszkać szpetnie, szpetnie jak my w Warszawie? W Dzianisie więc wymierzone są doskonale nietylko same domy, ale i masy powietrza pomiędzy niemi i wszystkie takie szczegóły materjalne gospodarskie jak płot, studnia, żóraw, buda psia, kładka i t. d. Owszem wydaje się nawet, że takie wymiary przypadkowe i ciągle zmienne, jak naprzykład wysokość stosu belek leżących pod ścianą, albo wielkość wiader, które noszą się przez dziewczynę na odcinku pomiędzy studnią, a domem, albo szerokość chodniczka położonego niedbale na zielonej murawie, albo grubość lipy przydrożnej chowającej figurę w swem gęstem listowiu — wydaje się, że są tak samo dopasowane do siebie i że to wszystko nosi na sobie dotyk i opiekę jakiejś jednej niewidzialnej ręki, I nawet pies który wysunął się oto teraz z budy, by służbowo oszczekać przybywających gości też nie jest ani zawielki, ani zamały w całości uroczego pejzarzu. Ściany domów z gładkich bal mają barwę ciemnego bursztynu, a końce belek na rogach są pomalowane bladą ultramaryną koloru niezapominajki, albo lnu kwitnącego.

Jednem słowem gdziekolwiek w Dzianisie przystanąć i w jakąkolwiek od tego miejsca stronę popatrzeć, wszędzie — krajobraz skomponowany i gotowy i pejzażysta nie ma co tam robić — wystarczy fotograf.

*

Przychodzimy do najważniejszego człowieka— o nim wszyscy wiedzą i mówią we wsi i okolicy. Jest to gazda Maciej Michniak Pawelec. Jest to gazda i... kolega, bo to kierownik placówki. Mieczyki na korzuchach w Dzianisie i okolicy noszą się i zamiast zwrotu „gazdo" używa się często" kolego i na powitanie ręka podnosi się *à la romaine.*

Pawelec—lat około czterdziestu, gęsta czarna grzywa spadająca aż na oczy, podobny jest do Maćka Borkowica na obrazie Matejki. Takie jest prawo (od czasów gdy urodziło się rolnictwo), że ludzie zawsze najpierw pracują na roli, a potem zaczynają robić coś innego. I ród Michniaków jest w okresie odrywania się od ziemi i rozpoczynania innej roboty, bo kolega Maciuś oprócz rolnictwa robi i politykę i oprócz tego jeszcze pracuje w ślusarstwie i zainstalował pod swoim domem w wielkiej betonowej suterenie — sali rozmaite urządzenia i warsztaty. A brat Macieja, Jacek, dotrzymuje mu kroku, bo też oprócz rolnictwa uprawia poli-

[1]) Fałd powtarzający się stale w posągach klasycznych, który podkreśla niejako od dołu całość tułowia i stanowi dla niej piękne i zdecydowane zakończenie; słynny jest przez to, że niema go w naturze i że jest to stylizacja dowolna przeróbka i jakgdyby poprawka ciała ludzkiego przez geniusz artystów helleńskich.

tykę i oprócz tego też ma trzeci zawód, a mianowicie poezję — pisze wiersze. Nie jest wykluczone i jest prawdopodobne, że z sutereny kolegi Macieja będzie kiedyś wielka i prawdziwa fabryka, bo jest on zdolnym i zamiłowanym majstrem, a ma kilkoro dzieci i przytem ambicję, by je jaknajlepiej wychować i wykształcić. Koperszady, Dolina Koprowa, Kopa Koprowa, Starorobociański Wierch, Dolina Podbańska [2]) — nazwy te świadczące o dawnych pracach górniczych w Tatrach, jakoteż ślady kopalń powodują unoszenie się wśród skał i turni tatrzańskich wraz z błąkającemi się obłokami tradycji człowieczego w mroczny głąb ziemi sięgania i wyjmowania jej wnętrzności i to niepokoi Maciusia, który często w święty dzień, wziąwszy trochę chleba, od świtu do nocy wędruje p o g ó r a c h i poszukuje kruszczu.

Maciuś Pawelec jest namiętnym politykiem, lecz zawsze zachowuje spokój, mówi półgłosem i precyzyjnie formułuje myśli, tak jak człowiek co pracuje konkretnie palcami i trzyma dobrze na wodzy, nie tak jak literaci i humaniści, swój język i swoją fantazję. Jest niegadatliwy, ale mówi w rezultacie dużo z humorem i wywołuje wybuchy śmiechu u słuchaczy, choć sam tylko uśmiecha się. Wogóle polityka w Dzianisie jest wesoła. Pawelec opowiada o tem, co było parę lat temu, a co jest dziś, o tem jak doprowadzono do bankructwa jednego sklepikarza za to, że brał chleb w żydowskiej piekarni, o tem, że nawet w Zakopanem, które żyje z gości w wielkiej liczbie żydowskich kilka sklepów żydowskich uległo likwidacji. Pawelec ma wielkie uznanie dla książek, prasy i wogóle dla oświaty i dlatego bardzo zdumiewa się, bo zdarzyło mu się stwierdzić, że inteligencja gorzej rozumie niektóre rzeczy niż chłopi. Pawelec mówi, że starosta zaprasza go do siebie, zaprasza raz po raz, bardzo grzecznie i mówi, że on sam, to znaczy starosta też jest narodowcem. Teraz na twarzy Maciusia zjawia się uśmiech, a wśród słuchaczy wybucha głośna i długo nie milknąca wesołość.

*

Trzeciego października zebranie. Wyznaczono na piątą, ale jest opóźnienie, bo kolega Maciuś teraz dopiero wrócił z Tatr. Czeka kilkadziesiąt górali, kilka b a b, widać też samochód, którym przybył z Nowego Targu kierownik powiatowy kolega dr... Mech.

Zebranie w sali betonowej pomiędzy różnorodnemi machinami. Na ścianie obraz, Miecze i dobre słowa. Październik — zaraz też zapalono lampę. Kolega Maciuś komenderuje. Wszyscy wstają i śpiewają hymn. Z hymnem jest nie najlepiej. Melodja „Warszawianki" ma walory raczej historyczne i przypomina rok trzydziesty pierwszy, Olszynkę, romantyzm i t. d., ale sama przez się nie jest ani dość prosta, ani wdzięczna. I trzeba przyznać, że ten wytwór *notabene* dość skoczny, romantyzmu i salonu XIX wieku górale wykonują marnie, atonalnie. Możeby trzeba było sięgnąć do innej epoki, może lepiej nadałaby się „Pieśń konfederatów Barskich". Mamy dzisiaj dziesiątki kompozytorów, a wśród nich tacy sławni jak Szymanowski, ale żaden z nich nie potrafi hymnu skomponować. Widocznie łatwiej jest komponować atonalnie...

Przemówienie kolegi dr. Mecha wypełnia cały niemal program. Jest doskonałe i d ł u g i e. Omawia wszystko co trzeba jasno i z talentem. Sala słucha z wielkiem zadowoleniem i od czasu do czasu pęka od śmiechu. Kulminacyjny punkt wesołości zapanował przy omówieniu deklaracji pułk. Koca, gdy prelegent oświadczył, że chłop też może coś urodzić. Niewinność ta wywołała prawdopodobnie tem silniejsze wrażenie, że wyszła z ust lekarza. W związku z tem trzeba było przerwać na chwilę odczyt i przeczekać podniecenie, w którem zadominowały wyraźnie koleżanki. W Dzianisie polityka jest wesoła, ale przemówienie dr. Mecha miało i momenty poważne i nawet patetyczne i wówczas na sali było bardzo cicho. Dr. Mech poruszył wszystko co trzeba i sprawy aktualne i trochę Hiszpanię i tradycje i wspomniał o Popławskim i zacytował Szczepanowskiego.

Może przemówienie to jest trochę partyjne i zanadto deprecjonuje przeciwników politycznych? Aleć przecież to nie jest ważne, czy taką czy inną ocenę otrzyma za swoją działalność na zebraniu w Dzianisie, które nie jest w seminarium historycznem, pan X, lub pan Y — oceni ich historia, oceni... i szalbierstwa nie pomogą. Wszystkim co boczą się dotąd jeszcze na stronnictwo, a mają naprawdę dobrą wolę, można powiedzieć, że nikt poza niem, a tylko ono gwarantuje takie fundamenty jak: Bóg, Ojczyzna, Kościół, usunięcie żydów. To jest najważniejsze, a reszta głupstwo — reszta b ę d z i e p r z y d a n a. Są dziś tylko dwie drogi: albo coś w rodzaju komunizmu i bezbożnictwa tak jak na Wschodzie, lub na Zachodzie, lub p o l s k a d r o g a. Narodowcy polscy są niepodobni w n i c z e m do jakichkolwiek nacjonalistów wogóle w Europie, bo idą z Kościołem. Uniwersytety co roku pielgrzymują do Częstochowy, a pochód Doboszyńskiego posuwał się wśród religijnych śpiewów.

Słyszy się często zarzut, że Stronnictwo Narodowe ma różne wady. Aleć przecie to temlepiej, bo wszystko na ziemi ma wady i Stronnictwo Narodowe byłoby czemś nienaturalnem jeśliby było zupełnie doskonałe.

Po przemówieniu odbyła się uroczystość przypinania mieczyków nowoprzyjętym, którzy już wykazali się czemś i zasłużyli — jeden z nich kijem dostał, inny ma za sobą pikietowanie sklepów, trzeci znów siedział w areszcie itd. Pawelec w mig ustawił kandydatów szeregiem, dr Mech po ślubowaniu zbliżał się do każdego, uderzał go trzykrotnie w ramię, przypinał mieczyk i całował kandydata. To jest staropolski zwyczej pasowania na rycerzy. Na lewym skrzydle szeregu kandydackiego znalazły się dwie b a b y. Rytuał ten w półmrocznej sali, przy małej lampce naftowej, niemal w podziemiu mógłby być ponury i koturnowy, ale w Dzianisie polityka jest pogodna, to też i ceremonia ta, choć i znać było na twarzy adeptów trochę tremy, odbyła się wśród uśmiechów.

Patrząc z boku na szereg tych stojących na baczność górali i na ich orle, indiańskie profile, łatwo było przypomnieć sobie groźbę Czepca, która dzisiaj skierowana jest do tych wszystkich in-

---

[2]) Przymiotnik K o p r o w y pochodzi od niem. *Kupfer Koperszady —Kupferschächte.* B a n i a — to samo co szyb. Spotkanie jakiegoś specjalisty górnika bawiącego na wywczasach w górach z Maciejem Pawelcem i umiejętne porozmawianie z nim o możliwościach górniczych w Tatrach dzisiejszych bez zamiaru rozczarowywania go, mogłoby być z wielkim pożytkiem dla niego, boby mu dało jakąś metodę w jego ryzykownych badaniach i poszukiwaniach, a oprócz tego taksamo mogłoby być bardzo miłe i interesujące i dla strony drugiej.

teligentów i panów, którzy ociągają się z torowaniem chłopu drogi do straganów i do miast i którzy ku zdumieniu Macieja Pawelca nie mogą niektórych rzeczy zrozumieć, a mianowicie:

Panowie, jeśli nie pójdziecie z nami,
To my na was i z kosami!

*

Późno w noc, bo po ósmej, wracaliśmy z kolegą Wojciechem Obrochtą Kordusiem do Kościelisk. Ani gwiazd, ani księżyca, a pod nogami polska droga. Gdy wyszliśmy na trawkę przełęczy, nagle Obrochta zwierzył się, że mimo wszystko żyda nie zabiłby. Jeśliby była rewolucja jak w Hiszpanii i żydzi przyczyniliby się do zamieszek, to co innego. Bo podczas wojny i rewolucji inne jest sumienie.

Słowa Obrochty są słuszne i z nich płynie przestroga dla żydów i zaleca się im po przyjacielsku bez ironii, żeby byli ostrożni. Emigracja żydów z Polski jest dojrzałą koniecznością dziejową i jest to sprawa zbyt poważna, żeby można było pozwalać sobie na nerwowość i arogancję. Jaki jest objaw niewątpliwy tego, że emigracja żydów jest to już dojrzała konieczność dziejowa? Objaw niewątpliwy tego jest taki: w roku 1920 cała ludność żydowska z reguły stanęła po stronie bolszewickiego najeźdźcy. Nikt nie myśli, że dawniej żydzi odnosili się do Polski przyjaźnie, ale z biegiem historii coś wyszło, coś dojrzało i dzisiaj żydzi występują przeciwko Polsce poprostu najgorzej, bo z bronią w ręku. A na terenie międzynarodowym politycznym i w prasie też nie ustają ataki żydów na Polskę. Jeśli żydzi zawsze byli wrogami Polski, to dzisiaj wrogość ta dojrzała najzupełniej i objawia się w akcji bezpośredniej. I temsamem dojrzała konieczność ich emigracji. Trzeba być szaleńcem, żeby mówić, że można znosić w kraju taką dojrzałą wrogość, niby drzazgę w ranie. Wówczas, podczas wojny, Polacy mieli moralne prawo ludzkie, całą ludność żydowską wymordować do nogi, ale nie zrobili tego. I oto więc żydzi żyją tu tylko z łaski. I emigracja też jest łaską, bo Polacy byliby w prawie zastosować środek gwałtowniejszy. Jednak jeśliby żydzi, broniąc się przeciwko emigracji, usiłowali tu robić jakieś zamieszki, walkę klas, czy fronty ludowe, to łaska ta będzie cofnięta momentalnie i wtedy zmieni sumienie Obrochty i to co nie zostało zrobione w roku 1920 zostanie zrobione teraz — bez żadnego wątpienia.

Dlatego też jest tutaj przyjacielska porada dla żydów, żeby byli ostrożni. Po przyjacielsku można radzić i wrogowi. LEON MACIAŃSKI

SONETY

SERCE

Z gór, ledwie jeszcze rano na rosach się tu skrzyło
Ku dziedzinom, tonącym w słońcu wielkiej pogody,
Poszło me serce lotem doliną Białej Wody,
Szukając coby mogło ukochać całą siłą.

I teraz oto wraca w popołudniowe chłody,
Wezbrane, bo żadnego dobra nie upuściło,—
I w górę się unosząc bije o zbocz pochyłą,
Jak utrudzona pszczoła, ciężka złotemi miody.

Wyżej, na skalnych piętrach wierchów drzemiących wkoło
Gdzieś tam jest moje gniazdo, wtopione w cień krzesanic,
Patrzące w twarz spokojnie i burzom i pogodom...

O Boże Miłosierny, ulituj się nad pszczołą,
Która ciężkiego swego plonu nie zbędzie za nic, —
I pomóż memu sercu wracającemu do dom!

ZAMIEĆ SŁÓW

Nieustanna nad głową iskier zawierucha,
Grad słów ognistych, rytmów rozpuszczonych szumy
Niepokoją mej myśli głębokie zadumy,
Która najcichszych głosów własnej duszy słucha...

Nie! Nie skusi mnie żaden ton ni kolor cudzy,
Który, oklasku chciwy, na tęczowym dymie
Niósłby w świat i szeroko rozdzwaniał me imię.
Dym kadzideł i sławy szych niech biorą drudzy.

Ilekroć mnie porywa iść za jej szelestem,
U progu mego twardy ktoś staje z protestem:
Głoduj, znalezionego nie tykając chleba!

Zasypane gwiazdami słów mając pół nieba,
Milczę, bo nie mam tych, których mi trzeba.
Wolę przepaść, niż zostać tym, którym nie jestem!

SWÓJ OBCY

Wiem, że przyjdziecie kiedyś na moje podwórze,
Może was jeszcze w progu sam powitam wtedy,
Może — jak u nas bywa — dziedzic mojej schedy
I domostwa mojego nowe duchy stróże.

I wiem, że wtedy jeden powie do drugiego:
„Mogłem go znać, bo przecie był moim sąsiadem!
Tyluśmy obcych czcili w karczmie winogradem
A o nim nie wiedzieliśmy zgoła niczego.

Oto ten, co o ścianę rzucał groch dojrzały,
Który lat tyle mówił do ryb w swoim stawie!
Powiedzcie ryby! coście takiego słyszały"?..

Ale ja z was każdemu testament zostawię
I, nie dzieląc, przekażę mu majątek cały!
Nie trwoniłem go nigdy w zawodach ku sławie...

NIKE Z SAMOTHRAKI

Z ciosu jestem wykuta, z jednej litej sztuki,
Jak skała. Zanim wieczność kształt mój zmoże boski,
W pył pójdą wasze gipsy i w proch wasze woski!
Ujrzą mnie, młodą—stare, wasze setne wnuki!

A szumią lotem, który dusze wtłacza w trzewa,
Na skaczące z pod stopy mej tęczowe piany
Nieścigłe śnieżnych skrzydeł moich huragany!
Krew wieczności przez serce moje się przelewa!

Z ciosu jestem wykuta,—lecz na mórz błękitem
Zrodzona z duszy Boga! Sto pokoleń rodzę,
By szły po wielkość mojem zachłyśnione życiem!

Choćby zaklęta spała gdzieś na mlecznej drodze,
Pójdą za blaskiem moich piór i skrzydeł biciem!
Z ciosu jestem—w krwi szumnej zrodzona pożodze!

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

NA WIDOWNNI

Pożyteczna dyskusja. — Co kontynuujemy a co grzebiemy. — Dziedzictwo Wielkiej Rewolucji. — Powszechność prądów dziejowych. — Zadanie Polski.

PAN TADEUSZ DWORAK wszczął swoim artykułem o „Totaliźmie narodowym", bardzo szczęśliwie dyskusję, na najaktualniejszy dzisiaj temat. Dobrze, że się o tym popisze i przy okazii pomyśli, jak ta Polska, co idzie, — winna wyglądać. Ale dobrze tak samo zastanowić się wogóle nad problemem, i to poza dyskusją niejako. Tak też właśnie chciałbym pisać o totaliźmie, ani jako jego zwolennik, ani jako przeciwnik — ale poprostu jako obserwator zjawiska historycznego pierwszorzędnej dla socjologa wagi.

Jest bowiem w historii rzeczy i spraw ludzkich pewna ciągłość i logika. Nawet rewolucje i przewroty tylko pozornie są nieusprawiedliwionemi kataklizmami i wybrykami dziejów, czy owocem jednej chwili. Na wszystko w historii pracują całe lata i pokolenia. Chcący i niechcący, świadomie i nieświadomie. To też i totalizm nie powstał z niczego jako nagła dzisiejsza moda, ani też nie jest to jakaś odwieczna tęsknota ducha ludzkiego — ale poprostu prąd pewnych czasów tkwiący w ich specyficznych warunkach. I dlatego myśląc naprzykład o totaliźmie w Polsce — nie zastanawiałbym się wcale nad tym, czy on odpowiada, czy też nie, naszemu charakterowi — ale raczej nad tym, czy pierwiastki, które mu sprzyjają, tkwią dzisiaj w naszej bieżącej chwili i czy nasze historyczne wczoraj budowało jakieś fundamenty pod niego.

Trzeba więc spojrzeć w przeszłość i to daleko. Czasy są nowe i totalizm — państwo wszechwładne jest na oko czemś ultranowem. Ale ostateczności się zawsze stykają i by zrozumieć to ultranowe państwo czarnych czy brunatnych koszul trzeba się cofnąć aż w pańską i filozoficzną epokę oświeconego absolutyzmu.

Chętnie żyjemy w tym przekonaniu, że to od nas właśnie zaczyna się epoka, że to my kończymy sobą okres wielkiej rewolucji, czy reformacji, a zaczynamy „nowe średniowiecze". Jest w tem bardzo dużo ignorancji i złudzenia. My wprawdzie się sprzeciwiamy wielu hasłom rewolucji francuskiej i sympatyzujemy ze średniowieczem, ale w gruncie rzeczy kontynuujemy pierwszą, a do reszty grzebiemy ostatnie.

Proszę się dobrze nad tą kwestią zastanowić. Nasze zadanie dziejowe polega na urządzeniu państwa mas, — państwa narodowego. Państwo ma obejmować dzisiaj wszystko i służyć mu mają wszyscy. Ruchy narodowe w koszulach, umundurowane i słuchające wodzów, wzywają rzesze na ratunek ojczyzny. Rzucają masy do krwawej walki o ideały. I jeśli ta dzisiejszość lubuje się w średniowieczu, to jest do niego, li tylko w pewnej swojej barbaryzacji podobna, w „mroku" — ale socjologicznie cała tkwi w tem, co nawikłała francuska rewolucja i jej poprzedni, przygotowawczy etap — filozoficzno-absolutystyczne monarchje oświeconego stulecia.

One bowiem w sensie socjalno-politycznym wyciągnęły prastarą prawdę o zasadniczej równości człowieka; one zamarzyły o oświecaniu mas i o dobrobycie dla każdego. One, co najważniejsze, oddały te wszystkie troski państwu, a gdy przyszedł rewolucyjny czas próby, jeszcze królewskie — powołały cały naród pod broń. Marszałek Kellermann odnosząc zwycięstwo pod Valmy, z przekąsem myślał o swoim sankiulockim wojsku i nie bardzo sam wierzył w jego tryumfy. Ale ta skromna właściwie nawet nie bitwa, a kanonada rozpoczyna jednak nową epokę, w której walczyć będą nie armie, ale uzbrojone narody i w której doby wojny odrywa się wszystkich od pługów i warsztatów i wszystkim każe pracować dla zwycięstwa. I możemy sobie dziś bardzo mądrze odbronzowywać żyrondę, teror i Napoleona— ale mimo to wszyscy z niemi, a nie ze św. Franciszkiem i rycerskiemi krucjatami do Ziemi Świętej, jesteśmy układem naszych stosunków związani.

Państwo totalne jako możliwość historyczna narodziła się więc jeszcze w osiemnastym stuleciu, z chwilą gdy sformułowano zasady władztwa narodowego, władztwa ludu. I znowu, chociaż marzymy o „państwie Bożem" Augustyna czy Tomasza i jesteśmy tak ultra-narodowi, nie budowalibyśmy go w ten właśnie sposób, gdyby nas nie poprzedzały potępione dzisiaj deklaracje praw człowieka.

Tam też, w tych czasach, leży i dzisiejsze, nasze pojęcie narodu. Bo narody i ojczyzny są wprawdzie stare i wieczne, ale nacjonalizmy nie, i ruchy narodowe taksamo. Ruchy narodowe, masowe, potężne, ludowe znowu mają swój początek w tem, że kiedyś w imię całkiem innych haseł i jak dziś dowodzimy, wbrew istotnym interesom ojczyzny— odwołano się do mas. Wiadomo, że rewolucje poruszyły męty i że spokojni obywatele patrzyli na to, co się dzieje, ze zgrozą. Ale nie to jest istotne, tylko to, że na okrzyk tych mętów wzywający do broni — poszły owe bierne i spokojne masy, dały obdartą, ludową armię i otworzyły tym czynem nową epokę.

Jednem słowem — epoka nasza zwalcza ideologię masońską tamtych czasów, ale cała w nich tkwi każdym najdrobniejszym szczegółem swego życia. Ład, jaki stworzy, zwalczając komunizm, będzie może nawet ładem „nowego średniowiecza", ale będzie też przede wszystkim narodowym ładem tamtych czasów. Będzie niejako podjęciem na nowo trudu owego przełomu i ostatecznem zorganizowaniem tych sił, jakie wtedy poruszono.

Leży więc totalizm na linii rozwoju dziejowego, jako bezpośredni skutek Wielkiej rewolucji. Ona przecież właśnie obaliła stany, zawody, korporacje i postawiła państwo wobec człowieka. Jeszcze przed nią nawet królewski minister Turgot zniósł cechy w imię wolności gospodarczej jednostek. Wolność zbyt nieograniczona doprowadziła do tego, że dziś tak głośno woła się bądź co bądź o niewolę — o totalizm państwa. Krzyk zgoła nieśredniowieczny, gdy pamiętać jak słabe i ograniczone było wtedy państwo, a jak silne zorganizowane w stany społeczeństwo. Państwo takie, o jakie wołamy dziś, marzyło się kiedyś nie filozofom średniowiecznym, ale Józefowi II-mu.

Profesor Rybarski w swoich ciekawych pracach, traktujących o przyszłości gospodarczej Polski i świata, zajął kiedyś stanowisko, z któregoby wynikało, że można ominąć pewne prądy dziejowe. Ma być bowiem „bardzo możliwem, że przez długie lata będą istniały ustroje, oparte na zupełnie sprzecznych podstawach". Podobna jest myśl prof. Komarnickiego, gdy chodzi o państwowe ustroje. Ale oba te poglądy wydają mi słuszny-

mi tylko w pewnym ogólnym sensie — dużej swobody odchyleń. Zasadniczy nurt dziejowy owładnie bowiem niewątpliwie i Polskę, bo niedarmo stanowi ona cząstkę większej cywilizacyjnej całości — Europy.

I nie jest to bynajmniej jakieś „umiędzynarodowianie nacjonalizmów" — ale poprostu pewna konieczność chwili. Proste ramy, w granicach których każdy naród będzię mieścił swą odrębność i które mu na to napewno pozwolą. Prądy dziejowe właściwe jakiejś cywilizacji przeżywają należące do niej narody zawsze razem, chociaż każdy po swojemu. Gotyk, renesans, klasycyzm są odmienne wprawdzie w różnych krajach szczegółami, ale są jednak jednolite i są niemal wszędzie. Po za prostą sztuką ludową specjalnie i czysto narodowego nigdzie nic nie ma. A chyba zgodzimy się wszyscy, że lepszy jest jednak tamten nacjonalizm ciągłych duchowych zapożyczeń i dawań, niż jakiś ludowy bardzo swój i rdzenny, ale bez zasięgu i bez ruchu.

Niewątpliwie więc czeka nas totalizm, chociaż niegdyś mieliśmy *liberum veto*. Ale to była szlachta, a dziś dominuje proletariat. Jego właśnie ustrojem jest totalizm; u jego ludzi nie napotyka na żadne ideowe, czy odruchowe zapory. W jego umysłowości jest w całej pełni dopiero zrozumiały. To jest zawsze rząd „robotniczo-włościański". I jeśli np. bierze dziecko od małego dla siebie, to pamiętać trzeba, że dla bawiącego się w rynsztokach dziecka ulicy to jest dobrodziejstwem — a tylko dla innego nie. Nie jest przypadkiem, że Mussolini jest kowalem, a Hitler rodzajem rzemieślnika. W Anglii prowadzi jeszcze „faszystów" wielki pan ale jedynie dlatego, że tam jest to, narazie przynajmniej, tylko ideowa zabawka. Tam gdzie to jest ruch rzeczywiście potężny i masowy, na jego czele staje zawsze człowiek mas.

Ale totalizm totalizmowi nierówny i będzie z nim to co z gotykiem, renesansem czy barokiem. Urobimy go po swojemu. W jednym kraju bardziej historia do niego prowadziła, w innym mniej. To wszystko jest bardzo rozmaite. A przede wszystkim są pewne ideologie modelujące tę formę, są różni charakterami ludzie, którzy się do niej zabierają. I w tym cała nadzieja — bo totalizm taki, jak go obserwujemy w Sowietach, czy Niemczech jest stanowczo zły i duchowi polskiemu napewno obcy.

Nasz ruch ma zresztą jedno bardzo ważne — chce być prawdziwie katolicki. A to obowiązuje. To na pewne wybryki totalizmu nie pozwala, to zakreśla mu pewne wyraźne granice i każe, co najważniejsze, szanować człowieka i wolną wolę jego duszy. Nie pozwoli też unicestwić wolności i zawsze każe myśleć humanistycznie. I to są problemy istotne. Polska powinna pokazać światu, jak ma wyglądać państwo dzisiejsze — państwo mocne, ale trzymające się granic Bożych — państwo pamiętające i o człowieku i o narodzie.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

DAJĄ „SZKOŁĘ" NARODOWI

Dowodem jak cierpliwe jest społeczeństwo polskie, pozostaną w historii karty kilkunastu lat ostatnich naszych dziejów wewnętrznych. Spokój, społeczeństwa można tłumaczyć tym, że jednocześnie w głębi narodu odbywa się jeszcze proces regeneracji schorzałego wskutek rozbioru organizmu pochłaniającego całą energię biologiczną. Polityką, opartą na „gierkach" zajmują się ludzie hazardu, uważanego za twórczość, którzy nie bardzo poddają się troskom o zdrowie i moc narodu.

Z głową wolną od tych trosk, rozporządzając środkami materialnymi i wpływami dwa lata już zajmują uwagę publiczną gierkami w dekompozycję kompozycję, konsolidację, rekonsolidację, fraternizowanie z młodzieżą od parady, tworzenie grup, związków, obozów, konfederacyj, czwórporozumienia, marszów na prawo, to znów na lewo. Wszystko to przy akompaniamencie prasy życzliwej, pełniącej rolę orkiestr; trąby, puzony, rogi myśliwskie, okrzyki naganiaczy, mowy i deklaracje, plotki. Rozwielmożniła się moda polowania na młodzież w porze niedozwolonej, łowienia na sidła i na wabia. Nie bardzo to reprezentacyjne, ale wesołe.

I tak czas schodzi, ale co naród ma z tego? Naród! Właśnie o to chodzi, żeby urządzić się poza narodem, wymanewrować z pola obóz narodowy, zastępując go byle jaką dekoracją. Krótko mówiąc, chodzi o to, żeby wszystko zostało po dawnemu, jak było od r. 1926, o reaktywowanie BBWR, który się rozpada.

W ubiegłym tygodniu, jak się dowiadujemy z urzędowej „Gazety Polskiej", doszło do rekonsolidacji w tym towarzystwie. Jakoby pogodzono się. „Będziemy robić dalej"—pisze p. Miedziński. Według tego męża stanu obędzie się bez narodu w dalszym ciągu. Naród polski — owszem — ma swoje zalety, ale jeszcze nie jest dojrzały do tyla, by się mógł rządzić, BB dała mu szkołę, ale na maturę zawcześnie. Szkoła trwa nadal.

CO ROBIĄ W POLSCE ŻYDZI

Dla czego Polacy nie chcą siedzieć z żydami na jednej ławie w szkole? Przedewszystkiem dla tego, że nie chcą siedzieć z nimi na jednej ławie przed kratkami sądowymi. Nie podobna znieść dłużej myśli o demoralizacji, jaką żydzi szerzą w społeczeństwie. Oni nam zniszczą wszystkie podstawy kultury i uczynią nas niezdolnymi do życia państwowego. Zrozumiemy to jasno dopiero wtedy, kiedy przestaniemy traktować ich zbrodnie jako anegdotę. Trzeba się wmyśleć w grozę szerzonego przez żydów rozkładu.

Piszący te słowa przeglądając w dniu 25 listopada pobieżnie dzienniki dostarczone z poczty, w kilku z nich w ciągu pół godziny zakreślił takie wiadomości:

1. Wyrok na komunistów w Kielcach. Sąd Okręgowy po pięciodniowej rozprawie skazał na więzienie 13 p o d s ą d n y c h (do 8 lat). W tej liczbie ż y d ó w — 12.

2. Proces komunistów w Lublinie trwa. W sprawozdaniu okropne szczegóły o wywrotowej działalności żydów i młodych żydówek,

3. Przed sądem Okręgowym w Warszawie rozpoczął się sensacyjny proces 18-tu wywrotowców z dozorcą terenów wojskowych na czele, którzy usiłowali tworzyć jaczejki komunistyczne wśród żołnierzy warszawskiego garnizonu. W wyniku śledztwa na ławie oskarżonych zasiadła cała jaczejka komunistów, którą kierował Żyd Joel Brylant. Żydzi, jak zeznał żołnierz, uczyli żołnierzy, jak niszczyć broń i wszczepiali przekonanie o konieczności wystrzelania oficerów w razie wojny.

4. Handlarze żywym towarem. W drodze do Wilna aresztowano handlarza żywym towarem, który wiózł 4 fordanserki. Na tym tle aresztowano w Warszawie 15 żydów „robiących w tej branży".

5. Związek złodziei w szkołach. Z Krakowa donoszą, że w jednym z miejscowych gimnazjów schwytano na gorącym uczynku kradzieży jednego z uczniów. Sprowadzono matkę ucznia, ta wskazała kolegę syna. Po nitce tej już policja doszła do kłębka: do rozgałęzionego związku złodziei, złożonego z uczniów szkół średnich i do paserów Żydów. Na czele związku młodocianych złodziei stał student — Żyd, syn zamożnych rodziców.

Oto jak toczony jest organizm narodu we wszystkich jego organach: rodzina, państwo, armia, szkoła systematycznie, planowo są niszczone, dusze zatruwane! A profesorowie masoni urągają młodzieży Polskiej, że nie chce z żydem, który organizuje bandy złodziejskie w szkołach, siedzieć na jednej ławie, owszem żydom wyrażają współczucie i cześć (Kotarbiński).

Zanotowane wyżej fakty zebraliśmy tu dla przykładu.

Pomyślcie, co się dzieje na całych obszarach Polski w głębi nieujawniającego się w dziennikach życia — choćby na polu gospodarczym, z którego żydzi z bierają plon w sposób rabunkowy i oszukańczy.

Żydów więc stać na obronę; stać na to, aby ostrze polityki wewnętrznej odwrócone było od nich ku stronnictwu Narodowemu.

POMNIK GENERAŁA SOWIŃSKIEGO NA WOLI

Wzniesiony na miejscu dawnej reduty nr. 56 pomnik Sowińskiego dobrze wyznacza i wskazuje kierunek, po jakim odtąd pójść mają tęsknoty serca tych Polaków, co, zasłuchani w rycerską przeszłość Narodu, z niej ciągnąć pragną ożywcze soki, wyklarowane z osadu jakże często spaczonej albo fałszywie odczytywanej legendy.

Romantyczny czar śmierci, pięknego gestu, wyżej przez pokolenie listopadowe stawianego niż twarde i uparte oponowanie się za cierpką szarzyzną życia — oto, z czem walczyć przychodzi, wślad za reprezentującym prosty żołnierski obowiązek — w antynomji do pańskiej teatralności — Wiarusem z „Warszawianki" St. Wyspiańskiego, i dzisiejszemu, młodemu pokoleniu. Pokolenie to stale przecież i aż do przesytu karmiono od zarania bytu niepodległego państwa uroczystościowemi dawkami martyrologji powstańczej i czadem tajnych związków, mrokami konspiracji. Rozrywanie tych świeżo zarosłych ran, nie wychowawcze rozpamiętywanie poniżającego upadku i mściwych wybiegów, ciosów z ukrycia, wymierzanych przez spętanego niewolnika, miast podnosić na duchu, wydatnie powiększało wrodzone i tak Polakom poczucie małowartościowości.

Czego innego nam dzisiaj w w onych pamiętnych datach szukać wypadnie. Wartości czysto żołnierskich: odwagi, hartu, i nieustępliwości. Spiżowa posłać generała Sowińskiego spełnia właśnie te wysokie wymagania, jakie należy postawić postaci historycznej, za wzór stawianej.

Główny punkt ciężkości tegorocznego obchodu listopadowego; odsłonięcie pomnika beznogiego bohatera zdaje się świadczyć o zmianie zainteresowań w omawianej dziedzinie i zwróceniu uwagi w pierwszym rzędzie na rysujące się w naszej przeszłości sylwetki autentycznych żołnierzy, ginących bez zbytecznej pozy na wyznaczonym odcinku.

Pyrz — Czarniecki — Sowiński: nazwiska — bynajmniej zresztą nie równego kalibru — potwierdzają słuszność naszych spostrzeżeń.

Dzień 29-go listopada, „Święto Podchorążych" należycie zostało podkreślone obchodem ku czci komendanta Szkoły Aplikacyjnej.

Z OBCEGO ŚWIATA

OZNAKI REAKCJI

PRÓBA nastraszenia stanowi niewątpliwie jeden ze sposobów gry politycznej, nie mniej jednak dla twórców porozumienia włosko-niemiecko-japońskiego wytworzenie nastroju pewnego rodzaju paniki nie było celem, ale skutkiem, może nawet i nie bardzo przewidzianym. Wydaje się rzeczą pewną, że sojusz ten kładzie fundamenty pod układ sił w przyszłej rozgrywce wojennej, która nastąpić ma kiedyś, wyniki wszakże paktu owego w chwili obecnej zarówno dla Rzymu, Berlina, jak i Tokio są dość kłopotliwe, wymagające wytężonej uwagi.

Jako bezpośredni efekt porozumienia trzech mocarstw, o polityce wybitnie nacjonalistycznej i ustroju militarystyczno-totalistycznym, następuje podróż min. Delbosa do Warszawy i stolic Małej Ententy, drugim zaś aktem reakcji jest ujawnienie porozumienia Anglii ze Stanami Zjednoczonymi. Ujawnienie owo nastąpiło w trakcie rozmów lorda Halifaxa z Hitlerem i stanowić ma głos przestrogi ze strony Wielkiej Brytanii.

Stany Zjednoczone porozumieniem tym zostały wytrącone z linii polityki, którą prowadziły czasy ostatnimi. Zasada ekskluzywności została złamana. Wprawdzie nie one to wkroczyły do Europy, ale splot wypadków światowych zmusił je do porzucenia stanowiska zupełnej izolacji, nie mniej jednak atuty Ameryki zostały rzucone na szalę wypadków, czym wzmocniły przede wszystkim i swoją własną pozycję w stosunku do Japonii — na Pacyfiku i w Chinach.

Gra polityczna mocarstw stwarza niemal codzień nowe sytuacje, tworzące jednak w sumie jedną koncepcję, podziału świata na dwie części o dwóch ideowych nastawieniach. Zagrożone przez fakty łączenia się państw o charakterze liberalno-demokratycznym, Niemcy i Włochy czynią duże wysiłki celem wzmocnienia swojego stanowiska. Do sukcesów włoskich należy uznanie ostatnio aneksji Abisynii przez Jugosławię, wynik akcji Pałacu Weneckiego, układu zawartego przez Il Duce ze Stojadinowiczem przed paru miesiącami.

Do sukcesów Berlina wytyczenie etapów, a może i... niedyplomatycznej, powiedzenie światu o pragnieniu odzyskania starych a może i pozyskaniu nowych kolonii, *anschlussu* z Austrią, aneksji Sudetów i Gdańska. Jeśli idzie o Gdańsk, plan ten pozostać musi w sferze nieziszczalnych rojeń.

WIZYTA WĘGRÓW W BERLINIE

W POWODZI faktów, których dni ostatnie na terenie międzynarodowym nie skąpiły, na jeden szczególnie my Polacy winniśmy zrócić uwagę, a mianowicie na wizytę premiera węgierskiego i ministra spraw zagranicznych w Berlinie. Jest ona wprawdzie traktowana jako akt kurtuazji, jako odpowiedź na wizytę min. Neuratha i Goeringa w Budapeszcie, mimo to spojrzeć na nią należy oczami realnej polityki.

Węgry rozczłonkowane wynikami Wielkiej Wojny siłą sytuacji w jakiej się znalazły stanowiły naturalnego sprzymierzeńca Niemiec, polityka też Berlina a szczególnie Trzeciej Rzeszy pragnęła wciągnąć je w zdecydowaną orbitę swych wpływów. Budapeszt zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa ulegania wpływom niemieckim i na przestrzeni lat linia obopólnych stosunków raz wykazywała większe, innym razem mniejsze nasilenie sympatii. Mimowolną przestrogą stało się odkrycie kast przez Rosenberga, które wykazało niezbicie, iż narodowy socjalizm pragnie ze sprzymierzeńca uczynić wasala. Również aktywność polityki włoskiej, czasu kierowania węgierskimi sprawami zagranicznymi przez Gömbosa, wiele się przyczyniła do uniezależnienia w pewnym sensie polityki Budapesztu, dzisiaj wszakże Rzym połączony jest z Berlinem paktem najściślejszej koalicji, paktem antykomunistycznym, do którego jednak Węgry zdecydowały się nie przystąpić. Oświadczenie w tej sprawie nastąpiło niemal w przeddzień wyjazdu węgierskich mężów stanu z rewizytą, co można niejako uważać za przestrzeżenie Berlina, ażeby w tej kwestii dyskusji w ogóle nie wszczynał.

Opory polityków węgierskich przeciw mimowolnemu poddawaniu się w lenno faktyczne Trzeciej Rzeszy uważać należy za przejaw dużej mądrości politycznej, pomijając, iż jest to poprostu i przede wszystkim sprawa narodowego sumienia. Przyznać trzeba, że dzisiaj Budapeszt w trudniejszej się znalazł sytuacji, aniżeli kiedykolwiek indziej, dzisiaj bowiem oparcie się jego o Rzym skoalizowany najściślej z Berlinem traci na znaczeniu — to jasne. W rysującym się coraz wyraźniej układzie sił politycznych już nie Europy, ale świata widać wyraźnie po jakiej drodze winna iść polityka węgierska. Zdecydowane opieranie się wpływom ustroju typu narodowo-socjalistycznego *Gleischaltung*'u świadczy o zdawaniu sobie sprawy z wartości typu cywilizacyjnego, jakie przedstawiają Węgry. Ów typ cywilizacyjny właśnie zbliża je, mimo sytuacji powojennej, w jakiej się znalazły, mimo zabiegów innych mocarstw i mimo obopólnych błędów politycznych, do Polski. Mamy jednakowe i ważkie zadanie do spełnienia, stanowimy niemal cywilizacyjną jedność. Są to argumenty w tworzeniu procesów historycznych pierwszorzędne, takie, których lekceważyć stanowczo nie wolno.

B.

NAUKA I LITERATURA

Z NIWY POETYCKIEJ

ŻYTOMIRSKI [1]) czuje poezję, nie, jakimi drogami jej szukać. Ma na oku piękno klasyczne głębokich przeżyć, ciekawych myśli i wzruszającego, prostego ich wyrazu.

Ale że dziwne są drogi duszy, więc ta poprawna postawa doprowadziła poetę do tego, że znalazł się, jak to mówią, w kropce.

Bo oto prostota, nie jakaś stylizowana, ale najprzystępniejsza, jasna i oszczędna w zdobnictwie prostota stylu, formy, ma to do siebie, że wymaga nie byle jakiej treści. Utwór szczery i bezpretensjonalny wtedy dorasta do rangi utworu poetyckiego, gdy wyraża — oczywiście przy innych jeszcze warunkach, ale ten jest główny — gdy więc wyraża jakieś silne uczucia, skojarzone z wielkimi myślami. Ta treść jest duszą utworu, stanowi jego utajone życie, decyduje o jego pięknie. Myśl naprawdę wielka wymaga prostych słów; wtedy przemawia do nas z siłą i poezją. I przeciwnie: słowa proste, jeżeli je płodzi pospolitość inteligencji i wykształcenia poety, zaraz pokażą papier między wierszami; zaraz ujawnią swe głupstwo, banał, naiwność. Dlatego niektórzy młodzi poeci o miernych uzdolnieniach lubią zasłaniać swe myśli, zagrzebywać je w ekstrawagancjach stylistycznych, w dekoracjach, w t. zw. „nowoczesnej" metaforze. Cóż—kiedy żaden strój, żadna szminka nie ukryje kalectwa ni ułomności i przy bliższym obcowaniu zwolna wszystko wyjdzie na jaw.

Żytomirski pisze prosto i szczerze się przyznaje do tego, że niema myśli wielkich, ani ciekawych. To, że „jest jedna na ziemi droga" (str. 5) powiedział już Mickiewicz i to znacznie rzetelniej i mocniej. Motyw w zakończeniu „Pieśni o dniu, który przyjdzie" był już w refleksji Wyspiańskiego: „podejmę może po raz wtóry ten trud, co mnie zabijał". Momentów takich, w których „pospolitość skrzeczy" jest tu pełno. Raz możemy wskazać na indywidualne źródło, na reminiscencję z lektury klasyków, innym razem czujemy poprostu atmosferę banalną, dowcip średni, pomysły nienadzwyczajne. W kilku miejscach poeta bardzo nieładnie wymyśla kobiecie, którą kochał, oświadcza, że nic go ona już nie obchodzi, że była „licha i mała". Najgorzej, że te epitety nie są uzasadnione, i tak wygląda jakby poeta nie był dżentelmenem, a takie wrażenie jest dalekie od estetycznego zachwytu. Nie przekonał nas autor, mówiąc, że pewnej nocy zmarł w nim Gustaw, a narodził się Konrad. Gdzie tu jest życie Konrada? Jego dusza uspołeczniona, jego prometeizm narodowy? Tryptyk o J. Piłsudskim zdradza taką naiwność polityczną autora, jakby całą swą wiedzę o Polsce, o życiu i walkach narodu czerpał z Jędrzejewiczowskich elementarzy.

Konrad, jeżeli ma być imieniem wielkości, musi łączyć w sobie zalety uczonego, męża stanu i heroicznego społecznika.

T. D.

---

[1]) Eugeniusz Żytomirski. „Pierwsze przykazanie". Nakładem księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1937. Str. 48.

MUZYKA

ABENDROTH I BACKHAUS

JEST jeden jedyny wieczór w roku muzycznym Warszawy, kiedy to zmienia się zupełnie nie widok estrady, ale widowni. Tradycja ta datuje się od chwili przewrotu narodowo-socjalistycznego w Niemczech, polityki kulturalnej Goebbelsa, czyli przepędzania zdecydowanego z życia sztuki żydów.

Wieczór ten to koncert jeden z najświetniejszych, na którym orkiestrę prowadzi Abendroth a przy fortepianie siedzi Backhaus, dwaj wielcy mistrzowie, klasycy prawdziwi.

W programie wówczas jest zawsze Beethoven i romantycy tak bliscy sztuce odtwórczej Backhausa. Wieczoru tego zjawia się manifestacyjnie (raz w roku zresztą...) Słonimski dla zamanifestowania, że jest nie narodowy ani na odrobinę nawet, ale ludzki, arcyludzki, i że Herman Abendroth i Wilhelm Backhaus jest dla niego nie przedstawicielem ponurej Hitlerii, ale wyżynami itd., do których sztuka itd., do których ludzkość itd... Znacie przecież tę piosenkę i ten słownik dobrze. Za dobrze nawet.

W piątek, 26-go listopada w programie był poemat muzyczny „Step" Zygmunta Noskowskiego, symfonia *c-moll* Brahmsa i koncert *g-dur* Beethovena, a w niedzielę 29-go Abendroth prowadził „dziewiątą", zmuszając siłą sugestii orkiestrę Filharmonii do wylegitymowania się swymi istotnymi możliwościami. Abendroth czuje Beethovena jak mało kto, a odczucie to umie przekazać słuchaczom. Na tym polega istota jego wielkiej sztuki odtwórczej.

Backhaus nad program dorzucił dwie etiudy Chopina, walce Brahmsa oraz ulubione *„Warum?"* Schumana. Tak wszystko charakterystyczne dla jego postawy duchowej, dla jego szkoły. Szkoła ta odbiega od sposobu interpretacji dzisiejszej, ze względu jednak na swe niewątpliwe walory o ustalonych wartościach, można ją nazwać klasyczną. Bez dyskusji.

„Step" przypomniał imię Zygmunta Noskowskiego, człowieka, który torował drogę polskiej muzyce symfonicznej u jej początków. Noskowski uczynił wiele, był wstępem dla okresu muzycznego „Młodej Polski", okresu, który zapisał się na tym polu w sposób najzupełniej wyjątkowy, dając takie nazwiska, jak nieodżałowanego Karłowicza i genialnego Szymanowskiego, po Chopinie i Moniuszce najwybitniejszego twórcę. O artyście, o pamięci po nim decyduje dorobek twórczy i on stanowi tu najistotniejszą zasługę. Nie trzeba wszakże i zapominać o innej kategorii zasług, takich jak praca pedagogiczna, umiejętność kształcenia. Tę twórca „Stepu" ma ogromną i poczytuję sobie za obowiązek ją przypominać, zwłaszcza jeśli danym nam jest usłyszeć utwór tak ciekawy ze względu na rolę, jaką odegrał w historii naszej muzyki.

W. NARUSZ.

Z TEATRU

„CZŁOWIEK KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM"

WIELE zawdzięczamy okresowi szczególnego zajęcia się formą, pamiętajmy jednak, że okres ten miał w sobie coś z tragicznego wypełniania pustki tam, gdzie było miejsce dla treści. Świetna żonglerka słowna Shawa sprawia prawdziwą intelektowi przyjemność, nie wnosi wszakże prawie nic pozytywnego. Stąd irytacja u słuchacza mimowolnego i słuszna.

Inaczej z Chestertonem. Jego zdobycze formy stapiają się najzupełniej ze zdobyczami myśli. Dzięki swojej kulturze wyjątkowej i dzięki swemu wyjątkowemu umysłowi posiada on przywilej śmiechu, ale nietylko, jak u Shawa, samego śmiechu, ale wymieszanego z radością. Ideałem Chestertona był gruby, zażywny św. Tomasz i św. Franciszek przemawiający do ptaków, ideałem Chestertona była wogóle świętość, podczas gdy Shaw czyni coraz bardziej wrażenie genialnego kabotyna.

Podobnie jak w „Kuli i Krzyżu" tak i w „Człowieku który był czwartkiem" podstawą jest spór, dyskusja. Jeśli książek tych nie czyta się szybko, to jedynie dla tego, że każde jej zdanie myślowo zapładnia. Książki te nie tracą nic na braku tempa czytania—nawet przeciwnie. Scena jednak jest czymś innym. Przeróbka Cecylii Chesterton i Ralfa Neale (w przekładzie Julii Rylskiej), wystawiona przez teatr Narodowy zabiła urok słów chestertonowych właśnie brakiem tempa. Mimo podpisania się pod inscenizacją Radulskiego czuło się w całej koncepcji skrzyżowanie wpływów a może i autorytetów, kto wie czy nie bezwzględnych Hozycy, Schillera i Zelwerowicza, który nie zawsze jednak potrafi być Panem Bogiem nawet teatru. Szczególnie irytująca jest scena zebrania anarchistów, odtworzona zastarzałą manierą podkreślania rytmiki. Nie wyczuto istoty słowa „anarchizm" a pokazano w każdym zbiorowym ruchu zebranych istotę krańcowo pojętego ładu, wobec czego racji najmniejszej niema dyskusja z pierwszej odsłony między Lucjanem Gregory'ego a Symem. Do tego poza jakiejś twórczej komuny a nie anarchicznego romantyzmu, nieskoordynowanego, rozwichrzonego. W ten sposób jak nam pokazano robotników, wyglądać by powinna inscenizacja sztuki ilustrującej—powiedzmy—ruch Stachanowski (bo i miny proletariatu odpowiednio przygnębione...)

Chestertonowi dany był przywilej śmiechu, reżyserii (najpewniej zbiorowej) nie. Wlazła na koturny i przemawiać poczęła patetycznie. Wielkość koniecznie musiała być widoczna jak na galówce, nie wyczuto wielkości istotnej, ukrywanej tym najlepszego gatunku wstydem, pokrywanej śmiechem. Wyprano „Człowieka, który był czwartkiem", z humoru, wskutek czego zatarto różnicę między obowiązkiem z tytułu pełnienia funkcji w *„Scottland Yardzie"* a przybraniem się w szaty godowe, szykowane nam przez Zbawienie. Pronaszko przeładował scenę architekturą, ale czas, w którym twórczość tego malarza wyrażała najwyższy oraz istotny sens tak jednak wypływała, mimo abstrakcyjnych, kubistycznych reminiscencyj z realizmu, że z wielką łatwością odtworzył wnętrze fabryki, zabrakło mu natomiast fantazji na odtworzenie Nieba. Niespoozianka przeistoczenia się agentów policji w zbawione dusze jest ogromna i olśnieni winniśmy być przemianą stanowiącą przecież cel życia. Tymczasem Niebo, które winno mieć jakiś przepych barokowy lub działać wspaniałą prostotą, która w koncepcji plastycznej winna być niespodzianką niemniejszą, aniżeli tamta pierwsza, jest tu obrazem przypominającym inny tylko wycinek tego samego świata, po którym stąpamy.

Chesterton ma wielkie wpływy u nas, może nawet większe, aniżeli u siebie w Anglii. Pod jego wpływem niezaprzeczonym powstała wielce wartościowa książka Doboszyńskiego o gospodarce narodowej, książka co to stała się wyrazem rewolucji nie tylko gospodarczej i społecznej, ale poprostu narodowej. Okazuje się jednak, że równie jak zbudowanie innego świata o innych, chociaż starych, albo raczej wieczystych normach, opartych o katolicyzm, jest dzisiaj jeszcze czymś niezrozumiałym dla ogółu wychowanego na zasadach dnia wczorajszego, tak i próba chociażby odtworzenia go scenicznego nie udaje się.

Mimo wszystko do teatru iść trzeba, by sztuki wysłuchać i by sztukę przemyśleć.

B.

FILM

COLOSSEUM: „Szef wywiadu", film angielski.

Film gorzej skomponowany, natomiast lepiej zagrany od „Stawki o życie". Ma za treść wyczyny szpiegowskie wywiadów. niemieckiego i francuskiego w czasie wojny, w 1918 roku. A więc jest również utworem typu sensacyjnego. Wykrywanie istoty rzeczy, ukrytej pod różnymi pozorami trzyma tu uwagę widza w napięciu. Chociaż wszystkie typy ludzkie zostały b. trafnie pomyślane (np. bezręki młodzieniec z angielskiego wywiadu) zadanie głównej rozgrywki spoczywa jednak na barkach jednej pary aktorskiej. Znakomity tragik niemiecki Konrad Veidt ma partnerkę o inteligentnej i subtelnej twarzyczce. Oczywiście, między przedstawicielami dwuch wrogich sobie wywiadów wykwita miłość i wszystko dalej się toczy wedle praw, dawno już ustalonych w świecie filmowym. Mimo to kulturalnie zrobiony ten obraz ogląda się z przyjemnością.

Scenarzysta, dla tem lepszego zawikłania akcji, nie cofnął się przed kilku nieprawdopodobieństwami.

POKŁOSIE

PSYCHOZA

NIE BYŁO prawie dnia w ostatnim tygodniu bez jakiejś katastrofy lotniczej, a dwie z nich jedna pod Piasecznem, druga w górach bułgarskich szczególnie blisko nas oczywiście obeszły. Gdy rozmyślamy nad tragicznym losem ofiar powstaje pytanie, co skłania ludzi nie zmuszanych do tego naglącymi okolicznościami, do obierania tak ryzykownego sposobu podróżowania, jakim jest dotychczas i zapewne jeszcze długo pozostanie lotnictwo.

Jedną z pobudek jest niewątpliwie ciekawość i chęć doświadczenia nieznanych dotąd wrażeń w takiej podróży, ale przecież ta pobudka może wyjaśnić krok poszczególnego człowieka, nie może natomiast grać głównej roli przy powzięciu decyzji, powierzającej samolotowi los całej rodziny, trzech generacji, dziadków, rodziców i wnuków, nawet jeszcze nie urodzonych jak było w wypadku nieszczęsnej rodziny książąt heskich. Dużą rolę odgrywa naturalnie gorliwie rozpowszechniane mniemanie, jakoby podróże powietrzne były nawet bezpieczniejsze od innych, co jest oczywistym nonsensem, utrzymuje się jednak wskutek stale w tym kierunku wywieranej sugestii; ale dominującą pobudką jest napewno zamiłowanie pędu, pośpiechu, jaki opanowuje coraz szersze kręgi ludzi, nawet w takich wypadkach, gdzie do tego pośpiechu nie ma żadnego powodu. Pośpiech staje się jakimś nowym bożyszczem, dążenie do jego zrealizowania urasta już do rzędu psychozy zbiorowej, nałogu narkotycznego, pociągających za sobą tysiące ofiar, liczniejsze dziś już może, niż liczba ofiar innych narkotyków.

Liczba osób zabitych w wypadkach samochodowych wyniosła w ubiegłym roku w Stanach Zjednoczonych 38 tysięcy, liczba zaś lżej lub ciężej poranionych więc w pewnej części kalek doszła w tym roku do miliona. W Anglii w ostatnich latach ginie przeciętnie na drogach około 7 tysięcy automobilistów i piechurów rocznie, liczba pominionych wynosi kilkaset tysięcy. Podobnie się ma rzecz w innych krajach o większym ruchu samochodów. Nasuwa się następujące zestawienie: ludzkość dumna jest ze zwalczania epidemii, jakie kiedyś grasowały, ale znosi bez protestu wkraczanie nowej plagi, nie mniej groźnej od dawnych; rzut oka na statystykę pozwoli natychmiast stwierdzić, że liczba zabijanych rocznie przez samochody w Anglii odpowiada akurat liczbie ofiar, (procentowo) jaką zabierają rocznie w miastach Polski dyfteryt i szkarlatyna razem wzięte. Ładny postęp w pielęgnowaniu życia.

Samochód staje się narzędziem coraz więcej śmiercionośnym i to wyłącznie prawie tylko wskutek psychozy, o której mówimy; bez niej nie byłby niebezpieczniejszy (w fachowym ręku) od innych wehikułów, a o tyle przecież sprawniejszy.

Najbardziej zdumiewające jest to, że ten psychopatyczny pęd do pędu jest w dzisiejszym czasie traktowany, jako coś zupełnie naturalnego, mimo fatalnych skutków, jakie za sobą pociąga. Wśród sprawozdań z licznych procesów o wypadki samochodowe natrafiłem raz tylko na zadane przez sędziego oskarżonemu rozsądne i zdawałoby się samo przez się pytanie:

— A dlaczego właściwie pan tak prędko jechał? Jaki był powód tego pośpiechu?

Oskarżony nie mógł podać żadnego powodu. Ot tak poprostu chciał prędko jechać. Sędzia wziął to jako okoliczność obciążającą przy wymiarze kary za ciężkie poranienie przechodnia.

Gdyby taki stosunek do pędzenia na łeb na szyję, jaki wykazał ów sędzia, tj żądający rozsądnego umotywowania pośpiechu, znalazł zwolenników i rozpowszechnił się, może to stałoby się początkiem otrzeźwienia z tej manii, ale na to się nie zanosi, przeciwnie konkurujące ze sobą zawzięcie fabryki samochodów czynią wszystko, żeby ta mania dalej się rozwijała. Dość zwrócić uwagę na jeden szczegół: wszystkie prospekty reklamują u swoich wyrobów „znakomity zryw" tzn. osiąganie wielkiej szybkości już w parę sekund po ruszeniu z miejsca. Jakież to może mieć naprawdę praktyczne znaczenie? Oczywiście żadnego, wprowadza jednak szybko w stan upojenia pędem, coś jak gdyby wypicie duszkiem wielkiej porcji alkoholu.

Psychozę tę powinno się leczyć i u nas, mimo jak dotychczas małej liczby samochodów, bo czego nie mamy w liczbie, to odrabiamy barbarzyńskim sposobem traktowania wehikułu i drogi, jak się to często zdarza neofitom.

Wszędzie na zachodzie dochodzą do przekonania, że konieczną rzeczą jest podział ruchu samochodowego pod względem szybkości. Do szybkiego ruchu mogą służyć tylko drogi specjalne (autostrady), kto zaś jedzie drogą zwykłą, ten musi się zadowolić szybkością umiarkowaną. Nasze drogi są liche, wskutek tego niebezpieczne i przez długi jeszcze czas trzeba na nich uwzględniać interesy milionów pojazdów konnych, nie zaś tysięcy samochodów. Tego nasi automobiliści nie rozumieją. Na zachodzie szybkość 40 kilometrów na godzinę na bocznej, krętej drodze w dzień jest uważana za normalną, u nas czyta się, jako o „koszmarze", że w nocy na szosie podmiejskiej, przepełnionej furmankami, nie można było jechać szybciej, niż 30 kilometrów. Straszne, ale i pożyteczne, bo przy takiej szybkości, jaką by chciał rozwinąć nocą nasz automobilista, napewno kark by skręcił. Oby ta świadomość przeniknęła jak najszerzej i psychoza osłabła.

ARGUS

NA MARGINESIE

Nie wiadomo, czy to jest ścisłe, ale powiadają, że z kół sanacyjnych wypłynie niebawem projekt nowego ustroju, rozwiązujący odrazu wszystkie trudności konsolidacyjne.

Projekt jest prosty. Trudności piętrzą się na dwu platformach. Jedne są ustrojowo-polityczne, drugie gospodarcze. Co do pierwszych — najtrudniej jest pogodzić zwolenników sanacyjnego totalizmu (wszystkie posady dla nas, państwo — to my) z opinią społeczeństwa, które chciałoby też mieć jakiś wpływ na politykę, a jest odsunięte. To raz. A powtóre—kryzys i brak pieniędzy.

Otóż projektodawca wszystkie te zagadnienia totalizuje. Według niego ustrój niech będzie totalny; w wyścigu do stanowisk i wpływów niech biorą udział tylko ludzie z dawnego BB, ale to co dalej oprzeć trzeba na wzorze, jaki nam daje ustrój wyścigów.

Wprowadzi się instytucję t o t a l i z a t o r a. Cała ludność totalnie będzie miała możność brania udziału w rozgrywkach, a jednocześnie rozwiązane będzie zagadnienie gospodarcze i skarbowe. Skarb będzie robił na totalizatorze kolosalne pieniądze, a społeczeństwo nietylko się zbogaci, ale i wyładuje namiętności i rozmiłuje się w koniach.

Będzie to i totalistyczne i demokratyczne a tak bardzo w duchu nowoczesnego sportu.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.